Mój Przyjaciel

Ilustrowany miesięcznik dla młodzieży

Rok IV. № 9.



Ilustracja do artykułu: „Niebezpieczne polowanie".

Cena Nr. 60 gr.

MÓJ PRZYJACIEL
ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

Rok IV. Warszawa, październik 1927 Nr. 9

Nowa szkoła amerykańska.

Celem tego artykułu jest zapoznanie naszych czytelników z najnowszemi prądami w pedagogice współczesnej. Prądy te coraz wyraźniej przebijają w życiu szkolnem Ameryki i częściowo Europy; zasługują więc na to, by zapoznać się z niemi chociażby w ogólnych zarysach.

Postępowa myśl pedagogiczna w ostatniem 50-cioleciu dąży wyraźnie do zreformowania szkoły i wysunięcia na pierwszy plan zasady kształcenia charakteru i woli dziecka, mniejszą zwracając uwagę na stronę ściśle naukową. Dążenie do zahartowania woli dziecka i rozwijania w nim samodzielności, przysposobienie dziecka do twardych wymogów praktycznego życia — oto są zadania, jakie stawia szkole pedagogika współczesna.

Ameryka jest obecnie krajem, gdzie naukowe badania psychiki dziecka odbywają się na szeroką skalę. Pomyślny stan finansowy pozwala związkom pedagogicznym na urządzenie wzorowych szkół, gdzie odbywają się naukowe eksperymenty i badania pedagogiczne. W tym artykule mamy zamiar zobrazować w ogólnych zarysach te prądy, które już przyjęły się na gruncie amerykańskim i zdążyły przeniknąć do niektórych szkół europejskich.

Chodzi tu przedewszystkiem o dwa systemy: t. zw. Dalton — plan, zainicjowany przez wybitnego pedagoga — Helenę Parhurst, oraz o system samodzielnego nauczania się, stosowany w szkołach Vinetta w Chicago. Obecnie wiele szkół amerykańskich przyjęło Dalton plan; lecz nie mniejszy sukces ma ten system pedagogiczny w Anglji, gdzie mamy 3.500 szkół, prowadzonych podług systemu Dalton. Podobne szkoły istnieją również w Holandji, Niemczech, Hiszpanji, Japonji, Indjach, Chinach; są takie szkoły teraz i u nas w Polsce.

Nie będziemy na tem miejscu wdawali się w szczegóły, związane z nauczaniem czytania i pisania podług systemu Heleny Parhurst. Wystarczy wskazać, że na 3-m lub 4-m roku nauki uczniowie przystępują do wykonywania Dalton-planu, który nas interesuje.

Podług tego planu kurs każdej nauki dzieli się na części, po 20 dni każda; dzieciom dają samodzielne zadania, które one muszą wykonać w ustalonym terminie. Poranne godziny w szkole dzielą się na dwa perjody krótsze i jeden dłuższy. Pierwszy krótki perjod — od 20 do 30 minut dziennie, przeznacza się dla sprawdzania prac uczniów i udzielania im wskazówek dla dalszej pracy. W drugim, dłuższym perjodzie, trwającym 2 — 3 godzin, uczniowie pracują samodzielnie; ostatni perjod — znów krótki, poświęca się wspólnym biesiadom

i zebraniom. Klas żadnych niema; zastąpione są przez laboratorja dla każdej poszczególnej nauki: np. angielskiego języka, przyrody, geografji, historji, muzyki, języków obcych. Dzieci mogą swobodnie przechodzić z jednego laboratorjum do drugiego pod jednym warunkiem — przestrzegania zupełnej ciszy. Nauczyciele zawsze znajdują się w swoich laboratorjach, aby w każdej chwili móc przyjść z pomocą poszczególnym dzieciom lub grupom. Wychodząc z laboratorjum uczeń powinien zanotować u siebie w kajecie rezultaty pracy za dzień ubiegły, jak również zrobić adnotację na ogólnej tabeli, zawieszonej na ścianie laboratorjum. Każde laboratorjum obliczone jest na 50 uczniów przy jednym nauczycielu. Ostatnią godzinę zajęć poświęca się wspólnej pracy całej grupy.

Czas poobiedni zajmuje śpiew, sport, roboty ręczne oraz dramatyzacja, czyli odczytywanie przez kilku uczniów utworu poetyckiego, odbywające się w ten sposób, że każdy uczeń odczytuje rolę jednej z postaci utworu. Na taką dramatyzację zwraca się w szkole szczególną uwagę. Dramatyzuje się wiersze, sceny z życia zwierząt, sceny z literatury ojczystej. Odgrywają je w szkole bez specjalnych kostjumów i akcesorjów; jest to tylko środek pomocniczy przy nauczaniu języka, historji, geografji, muzyki i rysunków. Uczniowie, również sami piszą większe utwory sceniczne, sami je odgrywają w teatrze szkolnym, malują dekoracje, sporządzają kostjumy.

Porządek w szkole utrzymywany jest przez uczniów; żadnego nadzoru niema. Nauczyciele zawsze są w laboratorjach, zajęci swą bezpośrednią pracą.

Szerokie rozpowszechnienie się planu-Daltona tłumaczy się tem, że dla przeprowadzenia go nie są potrzebne specjalnie wybudowane gmachy szkolne, ani nowe podręczniki; może on być stosowany w każdej szkole średniej, a przytem daje on najlepsze rezultaty, rozwijając u dzieci skłonność do samodzielnej pracy.

* * *

System Vinetta wzbudza śród pedagogów tem większe zainteresowanie, że jest stosowany w szkołach, przypominających powszechne szkoły ludowe. W Chicago takich szkół jest 3, po 500 uczniów w każdej.

Budynki szkolne są przystosowane do nowych zadań: przy każdym budynku prócz „ogródków dla dzieci“ mamy najrozmaitsze warsztaty i drukarnię. Szkoły te sprawiają bardzo miłe wrażenie. Właściwie, nie jest to zwykła szkoła z ławkami i szablonowem umeblowaniem, — lecz prawdziwy dom, stworzony dla dzieci. Wygodne, jasne pokoje z firankami, zrobionemi przez samych uczniów; zamiast ławek — stoliki i krzesła, pomalowane na biały lub niebieski kolor i przystosowane do wzrostu dziecka. Wszędzie wielka ilość kwiatów, pielęgnowanych również przez uczniów. Dzieci same obsługują szkołę; sprzątają pokoje i laboratorja, pracują w bibljotece; same również, przy pomocy nauczycielki gospodarstwa domowego (przedmiot obowiązkowy dla wychowanek 7 i 8 klasy) prowadzą bufet i kuchnię. Dzieci same sprzedają talony i prowadzą wszystkie rachunki.

Dzień szkolny dzieli się na 12 „perjodów“ — od g. 8.15 z rana do 3.45 po południu. Półtorej godziny tego czasu przeznaczono na śniadanie. Dla robót ręcznych, gospodarstwa domowego, rysunków lub muzyki łączy się dwa perjody. Pierwsza klasa idzie do domu przed śniadaniem; 2 i 3-ia pozostają do godziny 2-iej; starsze klasy pracują przez wszystkie 12 perjodów. Dzieci, które nie zdążyły skończyć pracę w przeznaczonym czasie mogą pozostać w szkole na dodatkową godzinę. Po skończonych zajęciach dzieci maja prawo udać się do obszernych bibljotek i warsztatów, otwartych do godziny 6 wieczorem.

* * *

Według europejskiego systemu szkolnego przerabia się z najrozmaitszym elementem dziecięcym ten sam materjał w tym samym czasie; w rezultacie jakość pracy dziecka w tej sa-

mej klasie bywa albo bardzo dobra albo zła. W szkołach Vinetta różny bywa tylko czas, przeznaczony na przyswojenie sobie odpowiedniego działu nauki; rezultat zaś musi być zawsze jednakowy. Dziecko może zużyć tyle czasu, ile potrzebuje dla wykonania zadania — ale wykonać musi. W drugiej części programu, gdzie chodzi o badanie indywidualnych zdolności uczniów oraz o pracę poszczególnych grup, używa się już innej metody. Tutaj każde dziecko może rozwinąć indywidualne swe zdolności, a szkoła musi dostarczyć mu odpowiednich warunków. W tym celu dzień szkolny dzieli się w następujący sposób: połowę poranku i połowę poobiedniego czasu poświęca się na obowiązkowe samodzielne prace, resztę zaś czasu zajmują zajęcia poszczególnych grup i t. zw. „prace twórcze“. Podczas godzin, poświęconych samodzielnej pracy, każde dziecko odrabia zadanie, przez się obrane. W klasie 3 ej np. podczas arytmetyki zauważymy dzieci, zajęte najrozmaitszą pracą. Jedno kończy już kurs 3 ej klasy, inne pracuje nad programem 4 klasy, trzecie znów kurs 3 klasy dopiero rozpoczyna. Lekcyj nikt nie wysłuchuje. Każdy uczeń odrabia pewną lekcję, sprawdza ją sam według odpowiedzi i przystępuje do odrabiania następnej. A kiedy przerobi kilka zadań,—praca, która zależnie od jego zdolności może zająć od 3 dni do 2 tygodni, sam egzaminuje siebie i gdy czuje, że przedmiot całkowicie już sobie przyswoił, prosi nauczyciela o prawdziwe przeegzaminowanie go. Jednak podczas egzaminu (przeważnie piśmienne klasowe zadania) okazuje się, że nie przyswoił on sobie całości, musi on przerobić jeszcze raz te zadania i poddać się nowemu egzaminowi. Przy tym systemie nauczyciel poświęca cały swój czas nie na przesłuchiwanie uczniów, ale na nauczanie ich. W godzinach, przeznaczonych na zajęcia poszczególnych grup, dzieci nie pracują według zgóry obranego lub narzuconego im planu — mają one zupełną swobodę. Nikt nie sprawdza ich pracy, nauczycielstwo służy im tylko radą lub przychylną krytyką. Praca dzieci staje się wtedy rzeczywiście samodzielną. W jednym pokoju odbywa się repetycja jakiegoś historycznego dramatu, w drugim mamy śpiewy, w trzecim prowadzi się gorące debaty na obrane tematy i t. d.

Wszystkie roboty w szkole wykonywują same dzieci, które też mają dlatego b. szeroki samorząd. Każdy prawie uczeń jest członkiem jakiejś komisji, a komisje te rządzą wszystkiemi gałęziami życia szkolnego. Komisje zazwyczaj składają się z przedstawicieli wszystkich klas. Istnieje np. komisja, która ma za zadanie przygotowanie programów ogólnych zebrań, odbywających się regularnie raz na tydzień pod przewodnictwem ucznia albo uczennicy; jest komisja, która opiekuje się placami gier, komisja dla kwiatów i t. d.

Dzieci wydają własną gazetę, współpracownikami której może być każdy uczeń, poczynając od pierwszej klasy. Redagowanie, składanie, korekta i strona finansowa znajdują się całkowicie w rękach klas 7 i 8. W ten sposób dzieci przyzwyczajają się do współżycia koleżeńskiego, do wspólnej pracy, aby móc później wejść w życie, jako pożyteczni członkowie społeczeństwa.

Szkoła Vinetta żywo przypomina wielki ożywiony ul, gdzie wre nieustająca energiczna praca. Uczniowie tych szkół, wesołe i pełne życia dzieci, uwielbiające swą szkołę ułożyły przysłowie — „święta — to najsmutniejsze dni życia“. Ten stosunek ucznia do szkoły jest najlepszą reklamą nowych prądów pedagogicznych. Ostateczna ocena tego systemu, wykazanie jego stron dodatnich i ujemnych należy do przyszłości.



Podróże Leminga.

Jak hordy gryzoni norweskich poszukują legendarnej Atlantydy.

Tytuł tego artykułu nasuwa czytelnikowi cały szereg pytań: „Kim jest ten pan Leming? dokąd pojechał? Co ciekawego wogóle przedstawiają jego podróże?“

Otóż przedewszystkiem zapoznam was z moim bohaterem t. j. lemingiem. Ciało ma grube, niezgrabne; głowę dużą z tępym nosem, małemi oczami i krótkiemi, ukrytemi w szerści uszami. Krótkie kończyny są uzbrojone w wielkie pazury... do rycia ziemi.

— Jakto, do rycia ziemi? — dziwi się coraz bardziej czytelnik.

No, tak. Leming — to nie żaden dyplomata, jadący do Genewy, nie artysta, udający się na tournée, nie jest również znanym muzykiem; jest to zwyczajny gryzoń z rodziny „arwikolid“. Zwierzęta te mieszkają zazwyczaj całym „klanem“ w górach Norwegji przy samej linji śniegów. Co 15-20 lat „klany“ łączą się w olbrzymią hordę, jak dawniej łączyli się w hordę Tatarzy. Posuchy i związane z niemi wysychanie jezior pchnęły w zaraniu dziejów Azję przeciwko Europie. Te same przyczyny zmuszają lemingi do emigracji. Połączone w olbrzymią hordę, lemingi spuszczają się z gór i kierują się na zachód. Wędrówka ich ma w sobie coś dziwnie niesamowitego.

„Horda“ składa się z miljonów zwierząt. Są tam ledwo łażący łysi „starcy“, jest pełna sił młodzież, są również i matki z dziećmi „przy piersi“. Żadna siła nie jest w stanie zatrzymać pochodu lemingów na zachód. „Horda“, jak dawniej Rzymianie, idzie, trzymając się kierunku linji prostej. Jeśli spotka w drodze zasiane pole, wygryzie w niem głęboką brózdę. Gdy drogę zagrodzą kamienne ściany, mocne zęby wielomiljonowej hordy dadzą sobie z niemi radę. O ile na drodze znajdą się studnie, najodważniejsze lemingi poświęcą życie i — trupami swemi napełnią je, a horda po ich trupach ruszy w dalszą drogę. Gdy zaś napotkają jezioro, rzucają się do wody, przeraźliwie piszcząc ze strachu, ale ciągle płynąc naprzód. Setki tysięcy „ordyńców“ giną, ale „horda“ jest przecież wielomiljonowa! Droga, którą lemingi przebyły, jest usłana trupami. Błotne sowy, jastrzębie, orły, wrony i czajki chmarą lecą nad hordą. Za niemi ciągną wilki, lisy i zdziczałe psy, które porzuciły panów, aby zamienić ciągły głód na długą i smaczną biesiadę. Nawet sympatyczne północne jelenie, żywiące się zwykle mchem tylko, przeistaczają się w drapieżników i pożerają w olbrzymiej ilości maleńkie lemingi, które urodziły się podczas wędrówki. Wreszcie olbrzymia horda dociera, jak legendarny zdobywca arabski Abu Hassan, do morza. Abu Hassan rzucił się wraz z koniem w ocean Atlantycki, ale widząc, że dalszej drogi niema, zawrócił. Horda zaś lemingów, dotarłszy do Atlantyku, rzuca się w groźne fale i płynie naprzód. Oczywiście, cała horda tonie, i długo jeszcze fale oceanu wyrzucają na brzeg trupy lemingów-topielców.

Rok „wędrówki“ lemingów jest rokiem epidemij w Norwegji, gdyż trupy zwierząt zatruwają wszystkie studnie.

Powstaje pytanie: poco horda lemingów prze ciągle na zachód?

Czy jedynym jej celem jest dotarcie do Atlantyku, aby tam zakończyć życie masowem samobójstwem?

Wędrówka lemingów tak długo będzie dla nas niezrozumiała, dopóki nie przyjmiemy założenia, że prowadzi je w tej wędrówce ślepa bogini-Nadzieja. Pochód hordy w jednym kierunku, uporczywe parcie na zachód i wreszcie śmierć w falach oceanu wydadzą się

nam okropną niedorzecznością i szaleństwem, o ile tylko nie przypuścimy, że ta horda... szuka kraju obiecanego.

Starożytni pisarze i średniowieczni kronikarze wspominają o tajemniczej i cudownej krainie, leżącej gdzieś na zachód od Europy. Irlandscy, hiszpańscy i francuscy podróżni, w okresie od 13 do 17 wieku, rzekomo widzieli góry i kształty brzegów tajemniczego kraju. Podróżni, — twierdzą kronikarze, — dopływali do brzegów, widzieli przepiękną roślinność, wspaniałe budynki, niekiedy nawet ludzi. Ale w ostatniej chwili burza zapędzała okręty hen na morze. Jeszcze na początku XVIII wieku awanturniczy żeglarze poszukiwali tajemniczego kraju.

Co oznaczają te opowiadania o dziwnej czarodziejskiej wyspie, znanej śród hiszpańskich pisarzy pod nazwą Saint - Brenden? „Wymysły w rodzaju bajek o Latającym Holendrze," — mówią sceptycy. „Wybujała fantazja i przesadne opowiadania o wyspach Azorskich i Kanaryjskich"—twierdzą inni. „Dalekie odbicie promieni Atlantydy, zapadłej w fale oceanu", — mówią, wreszcie, trzeci, powołując się na... lemingi, które popełniają niezrozumiałe samobójstwo w falach Atlantyku. I rzeczywiście z chwilą, gdy przypuścimy, że niegdyś istniała olbrzymia wyspa, archipelag lub kontynent, pochłonięty następnie przez ocean, to bezmyślna wędrówka lemingów, powtarzająca się perjodycznie co 15—20 lat, stanie się dla nas zrozumiała.

Nasuwa się nam następująca hipoteza; za dawnych czasów, w starożytności, istniał kraj, dokąd emigrowały lemingi, kiedy posucha albo inna przyczyna zmuszała je do opuszczenia ojczyzny. Droga do tej krainy została odkryta przez przodków lemingów, tak jak przez bociany znaleziony został powietrzny szlak od brzegów Wisły do delty Nilu, albo przez łabędzie — od ujścia Dniestru do brzegów Hoang-ho, lub Jang-tse-Kiangu. Stare lemingi przechowują tradycje „hordy", a w razie potrzeby stają na czele „wędrówki". Starcy wiedzą, że dostać się do ziemi obiecanej jest bardzo trudno, że wiele z nich zginie w falach oceanu, ale wierzą, że najsilniejsze, najenergiczniejsze lemingi dotrą do celu. Mając na uwadze, że lemingi przechowują tylko „podania rodowe" i nie mają ani gazet, ani telegrafu, któreby je powiadomiły, że nieznana kraina, dokąd przodkowie ich emigrowali, już nie istnieje, że wreszcie, z wędrownych hord *nikt* nie wraca, bo wszystkie zwierzęta giną w Atlantyku, — zrozumiemy dlaczego lemingi tak uparcie prą w obranym kierunku...



... bohaterem naszego opowiadania jest zwykły leming...

Prowadzi je ślepa bogini - Nadzieja.

T. Janowski.

SEADFORD
Ph. HAMP.

Bury niedźwiedź Fill

NOWELA

Słysząc taki przydomek, jak „Bury niedźwiedź“, i dowiedziawszy się, że posiadacz jego mieszkał w Colorado, czytelnik pewnie pomyśli, że był to bądź znakomity myśliwy, bądź też znany ze swej odwagi cowboy. Tymczasem, Fill nie był ani jednym, ani drugim. Był to cichy, spokojny, czternastoletni uczeń.

W jednem z miast, znajdujących się na granicy Wielkiej Amerykańskiej pustyni, u podnóża stromej góry znajdowała się, a zresztą pewnie i dotychczas znajduje się, Akademja dla chłopców wielce szanownego Oktawjusza Stamforda. Byłem właśnie jednym z wychowanków tej Akademji. Pewnego razu, kiedyśmy wrócili po Bożem Narodzeniu do szkoły, dowiedzieliśmy się, że do naszej klasy wstąpił nowicjusz. Był to chłopiec niewielkiego wzrostu, ale dobrej budowy, — Filip Lindsey. Ze względu na zdrowie chłopca przysłano go do nas zdaleka — z brzegów Antlantyku. Rodzice jego spodziewali się, że zdrowy klimat Colorado wzmocni go nieco.

Fill spał ze mną w jednym pokoju, i już nazajutrz po moim przyjeździe stwierdziłem, że tak dziwnego chłopca, nigdy jeszcze dotąd nie było w Akademji „Komendanta“, — jak nazywaliśmy wielce szanownego Oktawjusza Stamforda. Obudziłem się bardzo wcześnie, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno i spostrzegłem ku memu zdziwieniu, że Fill stoi przy oknie i patrzy na góry.

— Co ty robisz? — spytałem. — Za wcześnie jeszcze.

— Patrzę na wschód słońca,—odpowiedział. — Spójrz, jak pięknie!

— Na wschód słońca! — rzekłem, śmiejąc się. — Od kiedy to słońce wschodzi na zachodzie?

— A jednak, spójrz.

Wstałem z łóżka i, przecierając oczy, zbliżyłem się do okna. Tak, rzeczywiście, widok był piękny. U nas, na dole, panowała jeszcze noc, a wysoko nad nami, pokryte śniegiem, wierzchołki gór iskrzyły się w promieniach słońca. Fill twierdził, że widok ten przypomina mu lampę, przykrytą różowym abażurem, ja zaś przyrównałem ten pejzaż do otwartej czerwonej parasolki, pod którą umieszczono zapaloną świecę.

Ale stanie boso na zimnej podłodze, o szóstej godzinie rano, i dobieranie różnych poetycznych porównań, nie przypadało mi do smaku. Dlatego też rzuciłem się zpowrotem do łóżka, pozwalając Fillowi zachwycać się, ile mu się tylko spodoba, tą różową lampą.

Innym razem, w sobotę, wszyscyśmy udali się na cały prawie dzień w góry. Fill pozostał wtyle, a kiedy po godzinie odnalazłem go, zauważyłem, że siedzi on na skale i, opierając się na rękach, patrzy na ścielące się u dołu równiny.

— Poco tu siedzisz? —zapytałem.

Fill był tak zamyślony, że drgnął, gdy przemówiłem, i natychmiast wstał.

— Patrzałem na równiny, — odpowiedział.

— Na równiny! — odezwałem się z pogardą. — Co ci znów za pomysł strzelił do głowy?

— Dziwnie przypominają mi morze, — odpowiedział.

A kiedy uważniej przyjrzałem się tym równinom, musiałem przyznać mu rację. Nieprzebrane przestrzenie były rzeczywiście łudząco podobne do morza, a biegnący na skraju horyzontu pociąg przypominał okręt, i tem bardziej zwiększał złudzenie.

To właśnie było jednem z dziwactw

Filla. Zawsze widział on to, czego ja dotąd nie spostrzegałem, i nigdy nie domyślałem się.

W naszej szkole Filla zaliczono do „tępych“. Był on bowiem cichy, milczący, robił wszystko powoli, prędko męczył się i rzeczywiście wydawał się na pierwszy rzut oka poprostu głupkowatym.

Na początku również podzielałem ogólne zdanie. Ale później poznałem go lepiej, — myśmy często razem spędzali czas, i zrozumiałem, że on wcale nie należy do „tępych“.

Przedewszystkiem spostrzegłem, że małomówność, jak również powolność jego ruchów pochodzą od stałego obcowania ze światem ptaków i zwierząt.

Fauna i flora Colorado były mu dotychczas nieznane, lecz po krótkim czasie poznał on życie i zwyczaje zwierząt o wiele lepiej, aniżeli którykolwiek z nas. Cierpliwość miał nadzwyczajną. Mógł całemi godzinami leżeć nawspak nie zmieniając położenia i nie mówiąc ani słowa, zachwycając się grupą stepowych wilków. Ciągle zbierał on najokropniejsze rodzaje robaków, które przechowywał w naszej sypialni. Głównym zaś jego skarbem był stary włochaty i jadowity pająk, żyjący w pudełeczku ze szklaną pokrywą, które Fill przechowywał w szufladzie od umywalki. A gdy dozorczyni znalazła i wyrzuciła ten klejnot, nie skarżył się i nie mruczał, ale natychmiast przystąpił do zbierania nowej kolekcji.

Nie mogę twierdzić, aby Fill nigdy nie ożywiał się lub nie denerwował się. Wydawało mi się tylko dziwnem, że denerwują go takie głupstwa, na które ja osobiście nigdy nie zwróciłbym uwagi.

Prawda, byliśmy zupełnie niepodobni do siebie, nie przeszkadzało to nam jednak żyć w najlepszej przyjaźni. Często nie podzielałem zapatrywań Filla, często postępki jego wydawały mi się dziwne, jeden jednak rys charakteru podobał mi się bardzo. Był on szlachetnym i wspaniałomyślnym chłopcem i zawsze zachowywał się, jak prawdziwy gentelman.

Między wychowańcami Komendanta był jeden wysoki, chudy, siedemnastoletni młodzieniec, który nazywał się Tonny Blankinson. Był on najstarszym i najbardziej wysokim z pośród nas. My, to znaczy młodzi, przezwaliśmy go „Dryblasem“, ale, oczywiście, nikt nie



... miły i lubiany przez uczniów, choć łatwo wybuchający gniewem, Oktawjusz Stanford, zwany „Komendantem“.

miał odwagi nazwać go tak w jego obecności. Odznaczał on się bowiem nadzwyczajną mściwością. Gdy ktokolwiek obrażał go, zachowywał się spokojnie i nie tracił zimnej krwi; ale kiedy wszyscy dawno zapominali o sprzeczce płatał on jakiś kawał i wystawiał swego przeciwnika na ogólne pośmiewisko. A czy przyjemnie być pośmiewiskiem klasy? Nam, przynajmniej, wydawało się, że niema na świecie nic gorszego.

Ten właśnie Dryblas miał Filla za tchórza. Doszedł do takiego wniosku wskutek tego, że Fill jednego razu odmówił zapalić papierosa, nie chcąc nabawić się mdłości jedynie poto, aby mieć satysfakcję złamania dyscypliny szkolnej. Za to właśnie Dryblas nazwał go tchórzem. Wiadomość o tem rozeszła się po całej szkole, aż wreszcie chłop-

cy, powtarzając ciagle słowa Dryblasa, doszli do przekonania, że Fill jest rzeczywiście tchórzem.

... W początkach września dziesięciu wychowańców, — w ich liczbie ja i Fill, — powinno było, wraz z jednym z naszych profesorów, udać się w góry dla praktycznej nauki geologji.

Wstaliśmy bardzo wcześnie i, przebywszy koleją dwadzieścia pięć kilometrów, wysiedliśmy na małej stacyjce, skąd pieszo ruszyliśmy w góry. Po drodze napotkaliśmy niewielką fermę, a nieco dalej, samego farmera jadącego z wozem drzewa do domu. Zatrzymaliśmy się na chwilę, gdyż profesor wypytywał farmera o drogę a potem ruszyliśmy dalej. Przeszedłszy jakiś kilometr, znalazłem na drodze siekierę, która prawdopodobnie spadła z wozu farmera. Podniosłem ją i postanowiłem zwrócić właścicielowi w powrotnej drodze.

Po chwili zboczyliśmy z drogi i wdrapaliśmy się na porosłe sosnami i brzozami grzbiety gór. Szliśmy brzegiem bystrej górskiej rzeki, aż wreszcie dostaliśmy się na niewielką otwartą polanę. Tutaj profesor zatrzymał się i rozdzielił grupę. Pięciu chłopców, pod dowództwem Dryblasa, miało udać się na lewo, wdrapać się wysoko na góry, gdzie widniały dziwnie zabarwione skały, i przynieść stamtąd kilka próbek minerałów; profesor zaś z pozostałymi chłopcami miał pójść w kierunku prądu rzeki.

Byliśmy nadzwyczajnie zadowoleni, że nam pozwolono na samodzielną ekspedycję pod dowództwem „generała" Dryblasa, i wesoło ruszyliśmy naprzód.

Wdrapywaliśmy się na skały, przedzieraliśmy się przez gęstą puszczę, zbieraliśmy wszystko, co tylko wydawało się nam ciekawem, polowaliśmy na wiewiórki, rzucaliśmy kamieniami w ptaki i króliki, — słowem, zachowywaliśmy się, jak prawdziwi sztubacy.

Wkrótce las się skończył i wyszliśmy na dużą, piękną polanę. Wtem usłyszeliśmy jakiś szmer: z trawy wyskoczyło maleńkie szare zwierzątko o krótkich nóżkach, bardzo podobne do prosiaka, pokrytego miękką, długą szerścią, — o ile tylko takie prosiaki istnieją na świecie.

Zwierzątko bojaźliwie obejrzało się i szybko uciekło od nas, a my krzycząc i śmiejąc się, rzuciliśmy się w pościg za niem.

Fill nie uczestniczył w tem polowaniu. Pozostał on na kilka metrów wtyle od nas i, siedząc na ziemi, starannie wykopywał nożem gniazdo jadowitych pająków. Kiedyśmy pobiegli, on podniósł oczy, i nagle zerwał się na równe nogi.

„Strzeżcie się! Uwaga!" — krzyczał z całych sił. „To..."

Ale myśmy tak hałasowali, że nie słychać było, co on tam krzyczy. W międzyczasie, maleńkie zwierzątko, które biegało o wiele szybciej od nas, skryło się za grupą sosen, od której dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów. Chcieliśmy już biec dalej, gdy wtem gałęzie zatrzeszczały,—rozchyliły się,— i z pośród nich wyszła olbrzymia bura — niedźwiedzica!

W tej samej chwili wszyscyśmy zawrócili, krzycząc z przerażenia i rozsypując się na wszystkie strony, jak stado wróbli, gdy do środka dostanie się kot; popędziliśmy z całych sił do pobliskich drzew. Dryblas zupełnie zapomniał, że on jest dowódcą naszego oddziału i tak szybko przebierał nogami, że po sekundzie siedział już na drzewie. Pozostali pośpieszyli za jego przykładem, a ja... jam pozostał samotny.

Kiedy odwróciłem się od niedźwiedzicy, potknąłem się o siekierę i upadłem. Chociaż bardzo szybko skoczyłem na nogi, zatrzymało mnie to na kilka sekund i nie zdążyłem już wdrapać się na drzewo.

W kilku skokach niedźwiedzica dogoniła mnie i tak silnie uderzyła ciężką łapą po plecach, że upadłem na ziemię zupełnie bezprzytomny.

Leżałem, jak martwy; nie miałem sił poruszyć się, — i to było mojem zbawieniem. Niedźwiedzica miała mnie za martwego i, zamiast rozerwać mnie na kawałki, jakem się spodziewał, za-

częła mnie obwąchiwać i przewracać z boku na bok.

Wtem usłyszałem groźny jej ryk i głos Dryblasa, który krzyczał do kogoś: „Wracaj, ośle! Jemu i tak nie pomożesz! Ona przecież i ciebie zabije!“ A więc Dryblas myślał tak samo, jak niedźwiedzica. Oboje mieli mnie za martwego.

W tym czasie przyszedłem do siebie. Strasznie chciało mi się zobaczyć, kto śpieszy mi z pomocą, i nieostrożnie uczyniłem lekki ruch ręką. W tej samej chwili ręka znalazła się w zębach niedźwiedzicy, a ja poczułem taki straszny ból, że znów straciłem przytomność.

Więcej nic nie pamiętam, resztę opisuję według opowiadań kolegów.



...całemi godzinami Fill przesiadywał nieruchomo...

Kiedy Fill spostrzegł, że niedźwiedzica rzuciła się na mnie, on, zamiast wdrapać się na drzewo, pobiegł do miejsca, gdzie pozostawiłem siekierę, i, schwyciwszy ją, rzucił się na pomoc.

Było to, oczywiście, szaleństwem, ale Fill zdecydował się na ten czyn, nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał. Naprózno wołał go Dryblas. Zdawało się, że Fill nic



...bali się jego ostrego języka i nazywali między sobą — Dryblasem.

nie słyszy; posuwał się ciągle naprzód, nie odrywając oczu od niedźwiedzicy i trzymając siekierę wpogotowiu.

Niedźwiedzica wypuściła moją rękę i, przekroczywszy przeze mnie, groźnie ryknęła i wyszczerzyła straszne, białe kły. Ale to nie przestraszyło Filla, i on śmiało zbliżał się do niebezpiecznego przeciwnika. Wreszcie, w odległości może sześciu metrów od niedźwiedzicy, zatrzymał się. Niedźwiedzica zrobiła krok naprzód, — potem drugi,—i wtedy Fill ze straszną siłą, którą zwiększyło jeszcze podniecenie, opuścił siekierę i rozwalił jej łeb.

Niedźwiedzica zdążyła jednak zemścić się. Ostatnim kurczowym ruchem uderzyła Filla strasznemi pazurami i, rozerwawszy na nim marynarkę i koszulę, zadała mu trzy głębokie rany w okolicy piersi.

Jeszcze chwila, a Fill zatoczył się i padł na martwe ciało niedźwiedzicy.

* * *

Nie pamiętam, w jaki sposób wróciliśmy do domu. Wiem tylko, że wiele, wiele dni spędziłem w łóżku z zabandażowaną ręką i zupełnie sczerniałemi plecami, które były tak poranione,

że nie mogłem ani ruszyć się, ani westchnąć bez strasznego bólu. Wyzdrowiałem jednak wcześniej, aniżeli Fill.

Pewnego razu, kiedy siedzieliśmy w klasie, drzwi się otworzyły i wszedł Fill razem z Komendantem. Zerwaliśmy się z miejsc, krzycząc radośnie, i wszyscy rzuciliśmy się ku niemu.

— Powoli! Powoli!—przemówił Komendant, podniósłszy rękę.

Kolejno zbliżaliśmy się do Filla,— było nas trzydziestu chłopców,—i mocno ściskaliśmy mu rękę, mówiąc, że jesteśmy strasznie zadowoleni, iż mamy go znów pośród nas. A Fill, rumieniąc się i uśmiechając, powtórzył ze trzydzieści razy:



„. Trzymając siekierę wpogotowiu Fill posuwał się ciągle naprzód..

— Dziękuję! Bardzo wam dziękuję!

— A teraz Lindsey, zdaje mi się, że czas odejść,— rzekł Komendant.— Nie powinieneś się przemęczać. A wam, chłopcy, chcę jeszcze słów kilka powiedzieć.

Fill odszedł, a Komendant stanął na podjum, na którem była jego katedra i przemówił do nas:

— Bardzo się cieszę, żeście tak entuzjastycznie przywitali Filipa Lindsey'a, — rzekł.

Wszyscy poruszyliśmy się w podnieceniu, i szmer rozległ się w klasie.

— Wszyscy wiecie, — mówił dalej Komendant, — że on uratował życie swego kolegi, narażając przytem swoje własne. Chciałem wam powiedzieć, dzieci, że jest to szlachetny czyn, — szlachetny, wspaniałomyślny czyn!

W tem miejscu twarz dobrego, starego Komendanta zaróżowiła się, a oczy zabłysły.

— Daj Bóg, — przemówił wzruszony i podniósł rękę, — aby i w młodym stanie Colorado zjawiali się tacy śmiali, szlachetni ludzie, jak Filip Lindsey, szkolny wasz kolega!

Znów niecierpliwie poruszyliśmy się w swoich ławkach, a szmer stawał się coraz głośniejszy.

— Poczekajcie chwilę, — nie skończyłem jeszcze, — zatrzymał nas Komendant.— Jutro nie będzie lekcyj. Odbędzie się uroczyste święto na cześć Filipa Lindsey'a!

Wreszcie zerwaliśmy się z miejsc i z głośnemi okrzykami zachwytu okrążyliśmy Komendanta.

Stary uśmiechnął się i skinął nam głową.

—Dobranoc, dzieci!—rzekł i wyszedł z pokoju.

Zrozumiałem jest, że po bohaterskim czynie Filipa nikomu na myśl nie przychodziło nazywać go tchórzem. Zato od tego czasu nietylko w szkole, ale nawet w całym stanie Colorado nazywano tego cichego, spokojnego chłopca wcale nieodpowiednim przydomkiem „Bury niedźwiedź".

Tłumaczył z angielskiego
A. Jaworski.

Wiatr—sojusznikiem ludzkości.

Zamiast nafty i węgla — wiatr. — Prastary wiatrak — przedmiotem badań naukowych. — Doświadczenia p. Constantina. — Jak się buduje stację aerodynamiczną.

Zagadnienie elektryfikacji kraju, a tem samem ulepszenia stanu gospodarki państwowej i podniesienia stopy życiowej mieszkańców, zależy od wyzyskania wszystkich naturalnych źródeł energji, w jakie kraj obfituje.

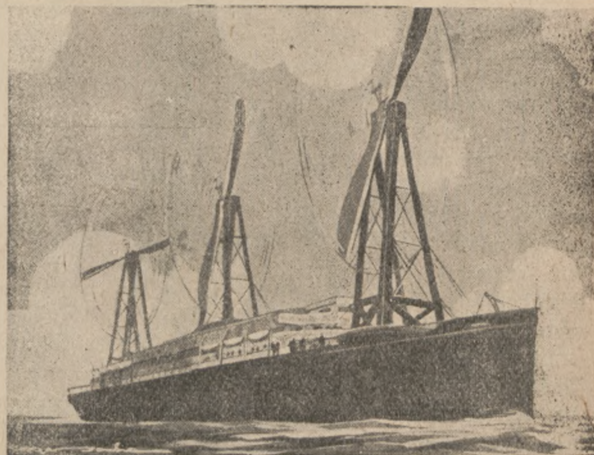
Oczywiście, mamy tutaj na myśli nie kopalnie węgla lub pokłady nafty czy lasy, lecz te źródła, których użytkowanie jest tem użyteczniejsze, im eksploatacja tańsza. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje słońce i woda, — nie lekceważmy jednak i tej siły natury, jaką jest *wiatr*.

Przysłowie holenderskie, które mówi: „Bóg stworzył świat, a Holendrzy Holandję" należy uzupełnić słowami: „przy pomocy wiatru". Starożytnej konstrukcji wiatraki, poruszane siłą powietrza, które wprawiały w ruch pompy, osuszające tereny błotniste, poruszają i dziś jeszcze tysiące młynów, zaoszczędzając mieszkańcom wydatków na węgiel, którego „biedna" Holandja nie posiada wcale.

Nie dziwmy się przeto, że współcześni uczeni i technicy coraz bardziej kierują swą uwagę na ten „stary", a jednak tak mało poznany, rodzaj energji, jakim jest wiatr.

Aerodynamika, czyli nauka o ruchu powietrza i jego zastosowaniu w praktyce, mimo swej młodości, zdziałała już bardzo wiele, obdarzając świat wymyślnemi samolotami lub sterowcami. A teraz, nie ustając w pracy, kieruje swe wysiłki na doskonalenie prastarego wiatraku, aby uczynić z niego potężną dźwignię współczesnego problemu elektryfikacji.

Bronią, która już pozwoliła wydrzeć berło tak groźnemu niegdyś Eolowi, jest *śmigło* i ono według słów Constantina, inż. francuskiego, stanowić winno przedmiot badań współczesnego technika - konstruktora. Nie sądźmy jednakże, że wystarczyłoby zmontować śmigło na poziomej osi i wystawić na działanie wiatru, aby otrzymać idealny młyn. Badanie budowy śmigła w zastosowaniu do turbiny powietrznej [1]) wymagało wielu prób, a owocem ich jest turbina sprawdzona na wieży Eiffla, której sprawność przewyższyła wszystkie dotychczas znane aeromotory [2]). (młyny amerykańskie o licznych skrzydłach,



Współczesny „żaglowiec", poruszany kilkoma aeromotorami.

holenderskie o wielkiej bezwładności i t. p.).

Oto jak się przedstawia w ogólnych zarysach plan budowy stacji aerodynamicznej.

Turbiny wietrzne zostają umieszczone w najlepiej nadających się na ten cel punktach (na pagórkach, miejscach niezasłoniętych przez lasy i t. p. przeszkody dla wiatru; na wybrzeżu morskiem lub rzecznem i t. d.). Każda z turbin jest połączona ze stacją centralną, która automatycznie, zapomocą kabli

---

[1]) Turbina — koło poziome kształtu ślimakowatego, poruszane strumieniem wody lub pary (tutaj układ kół, poruszanych śmigłem, wystawionem na pęd powietrza.)

[2]) Aeromotor — maszyna, poruszana powietrzem.

sterowych, może niemi kierować stosownie do ruchów wiatru, (aby otrzymać prąd o większem napięciu lub natężeniu). Prąd, dostarczony przez turbiny powietrzne, jest stały. Na stacji centralnej zostaje on przekształcony w prąd zmienny[1]), i włączony do sieci.

Poznawszy plan ten w ogólnych zarysach, zapytać należy, jakie zarzuty techniczne postawić można jego zastosowaniu przy fabrykacji prądu?

Przedewszystkiem, wiatr jest niestały. Prąd zaś elektryczny wymaga stałości bądź natężenia, bądź napięcia, a na kaprysy wiatru liczyć przecież nie można.

Według p. Constantina zmiany wiatru podzielić można na trzy rodzaje:

1. Zmiany nagłe, czyli wstrząsy, trwające mniej więcej dwie do trzech minut. Wielkie rozmiary turbiny i ogromna ilość obrotów na sekundę stanowią *bezwładność*, wystarczającą na unieszkodliwienie tych niespodzianych wstrząsów powietrza (tak jak bezwładność koła rozpędowego maszyny parowej zapewnia jej regularny bieg[2]).



Potężne śmigło, ustawione na wybrzeżu morskiem, jest niewyczerpanem źródłem energji elektrycznej.

2. Zmiany szybkie, trwające od 15 do 60 minut. Aby zapobiec ich działaniu należy wynaleźć urządzenie pomocnicze, zdolne zastąpić chwilowe niedomaganie turbiny, a więc urządzenie, przypominające zbiornik energji. W tym celu należy średnią moc aeromotoru obliczyć ostrożnie, nadać jej małą wielkość, nadmiar zaś energji, wyprodukowanej w chwilach „łaski“ Eola, zachować i użyć w godzinach krytycznych. To gromadzenie zapasów energji, zamiast w kosztownych akumolatorach elektrycznych, odbywać się będzie w zbiornikach pary, według planu profesora politechniki w Grenoble p. P. Bergson.

Do kotłów, napełnionych wodą, wprowadza się dwie elektrody węglowe; prąd elektryczny, przez nie przepływający, rozgrzewa wodę i zamienia ją w parę, która zostaje zebrana w specjalnych zbiornikach. Gdy wiatr jest zbyt słaby, para ta, znajdująca się pod wysokiem ciśnieniem, zostaje oswobodzona i, zapomocą specjalnych urządzeń, przeciwdziała spadkowi w dostarczaniu energji elektrycznej dla sieci.

3. Wiatr ustał od 24 godzin. Stacja zupełnie nieczynna. Akumulatory pary wyczerpano. Martwota na przeciąg *X* dni... Środek przeciwko temu leży już poza zakresem działalności stacji aeroelektrycznej.

Aby nie wstrzymywać pracy w warsztatach, czerpiących energję ze stacji „powietrznej“, konieczne jest połączenie jej sieci z siecią centrali elektrycznej *zwykłej*, którąby w tym wypadku przyszła z pomocą swej młodszej siostrzycy. Według obliczeń teoretycznych, sprawdzonych doświadczalnie, (biorąc średnią szybkość wiatrów), praca turbiny o 50 m. średnicy w stosunku rocznym da nam pracę 1110 H. P. A przecież ilość turbin, któremi można dysponować, jest nieograniczona!

Zastosowanie nowych metod może wywołać radykalny, przewrót w dziedzinie elektryfikacji i żeglugi morskiej.

B. Pete.

[1]) Prądy zmienne dają się łatwiej przenosić na odległość bez większych stosunkowo strat.

[2]) Bezwładność — własność ciał, polegająca na tem, że same sobie nie mogą nadać ruchu, a poruszone, nie mogą go powstrzymać ani zmienić.

Brakujący rozdział w powieści Juljusza Verne.

Podróż na księżyc. — Prawa naukowe i prawa kulinarne. — Ogień, który się nie pali i woda, która się nie leje. — Fizyka przy stole obiadowym.

W słynnej powieści „Podróż na księżyc" Juljusz Verne szczegółowo opisał, jak trzej odważni podróżni spędzali czas wewnątrz pocisku armatniego, mknącego ku księżycowi. Jednak znakomity autor nic nie powiedział o tem, jak bohater powieści Michel Ardent pełnił obowiązki kucharza podczas podróży. Widocznie autor przypuszczał, że gotowanie wewnątrz pędzącego pocisku armatniego nie jest tematem godnym zastanowienia. W tym atoli wypadku pomylił się. Chodzi o to, że wewnątrz pędzącego pocisku wszystkie przedmioty *stają się nieważkie.* A zgodzicie się chyba wszyscy, że gotowanie w podobnej kuchni — to temat nader ciekawy, i należy pożałować, że utalentowany autor „Podróży na księżyc" nie poświęcił mu więcej uwagi. Postaramy się w miarę sił uzupełnić tę lukę, aby czytelnik mógł sobie wyrobić zdanie, jak bardzo efektowny byłby ten rozdział w ujęciu samego Vernego.

Przy czytaniu tego rozdziału należy ciągle mieć na uwadze, że wewnątrz pocisku — jak wyżej powiedzieliśmy — *niema ciążenia*; wszystkie przedmioty, znajdujące się w nim, są *nieważkie.*

Śniadanie w nieważkiej kuchni.

— Przyjaciele, przecież nie jedliśmy jeszcze śniadania — zwrócił się Michel Ardent do towarzyszów międzyplanetarnej podróży. — Z tego, żeśmy stracili wagę, nie wynika jeszcze, żeśmy również stracili apetyt. Podejmuję się, moi przyjaciele, sporządzić dla was nieważkie śniadanie, które bezwątpienia, będzie składało się z najlżejszych potraw, kiedykolwiek sporządzonych w świecie.

I, nie oczekując odpowiedzi, Francuz wziął się do roboty.

— Nasza butelka z wodą udaje, że jest pusta — mruczał Ardent, męcząc się nad odkorkowaniem wielkiej butli. — Nie oszukasz mnie: przecież wiem, dlaczegoś taka lekka... Tak, korek wyjęty. Racz teraz wylać swą nieważką zawartość do rondla! — Ale mimo wszystkie usiłowania Ardenta, woda z butelki nie wylewała się...

— Nie trudź się, kochany Ardencie, — wtrącił Nicolle. — Pomyśl, że w naszym pocisku, gdzie niema ciążenia, woda nie może *lać się.* Powinieneś ją *wytrząść* z butelki, jak gęsty, ciągnący się syrop.

Nie namyślając się długo, Ardent uderzył ręką w dno przewróconej butli. Znów niespodzianka: natychmiast koło szyjki wzdęła się wodna kula, wielkości pięści ludzkiej.

— Co się stało z naszą wodą? — zdziwił się Ardent. — Przyznaję, że nie spodziewałem się tego! Wytłumaczcie więc, uczeni moi przyjaciele, co tu się stało?

— To kropla, kochany Ardencie, zwykła kropla wody. W świecie, w którym nie istnieje prawo ciężkości, kropla może być dowolnej wielkości.. Przypomnij sobie, że płyny tylko dzięki ciężkości przyjmują formy naczyń, leją się w postaci strumieni i t. d. Ponieważ nasza woda nic nie waży, to poddana działaniu sił wewnętrznych między-

cząsteczkowych, przyjmuje formę kuli, jak masło w znakomitem doświadczeniu fizycznem.

— Co mnie obchodzi fizyka z jej doświadczeniami! Muszę zagotować wodę na buljon, i, słowo daję, żadne siły międzycząsteczkowe nie zatrzymają mnie! — zapalczywie odezwał się Francuz.

I jął zaciekle wytrząsać wodę do pływającego w powietrzu rondla, — lecz zdawało się, wszystkie siły natury zmówiły się przeciwko naszemu kucharzowi. Wielkie kule wodne, wytrząśnięte do rondla, rozpływały się po jego ściankach. Nie dość na tem,— ze ścian wewnętrznych woda przechodziła na zewnętrzne, i wkrótce cały rondel został owinięty grubą warstwą wody. Zagotować ją w takim stanie było niepodobieństwem.

— Otóż, znów ciekawe doświadczenie, wskazujące, jak wielka jest siła spójności — spokojnie objaśniał wściekającemu się Ardentowi niewzruszony Nicolle. — Nie denerwuj się: zachodzi tu zwykłe zwilżanie cieczą ciał stałych; w tym jednak wypadku siła ciężkości nie przeszkadza rozwinięciu się tego zjawiska...

— Wielka szkoda, że nie przeszkadza! — odpowiedział Ardent. — Wszystko mi jedno, czy tu zachodzi zwilżanie, czy też inne zjawisko! Ja muszę mieć wodę *wewnątrz* naczynia, a nie *dookoła* niego. Słyszane rzeczy! Żaden kucharz nie zgodzi się przecież gotować w takich warunkach!

— Bardzo łatwo możesz zapobiec zwilżeniu, jeśli ono ci tak bardzo przeszkadza,—wtrącił się mister Barbiquin.— Przypomnij sobie, że woda nie zwliża ciał, pokrytych chociażby najcieńszą warstwą tłuszczu. Wysmaruj rondel nazewnątrz tłuszczem, a zatrzymasz wodę wewnątrz naczynia.

— Brawo! To właśnie nazywam prawdziwą wiedzą! — ucieszył się Ardent, przystępując natychmiast do zrealizowania zbawiennej rady.

— Muszę cię jednak uprzedzić, — dodał Nicolle, — że o ile nasmarujesz również i *wewnętrzną* część rodla, to woda przyjmie w nim formę dużej kropli. Wątpię, czy w takim stanie uda ci się ją zagotować.

Ale Ardent już nie słuchał: całkowitą jego uwagę pochłonęło nagrzewanie wody na kuchence gazowej.

Zdawać się mogło, że wszystko dookoła zmówiło się, aby działać na złość Ardentowi. Gazowa maszynka — i ta kaprysiła: przez pół minuty paliła się maleńkim płomykiem i wnet zgasła z niewiadomej przyczyny.

Ardent pracował nad jej naprawą, cierpliwie niańcząc maleńki płomyk — ale starania jego nie doprowadziły do skutku: maszynka źle funkcjonowała.

— Barbiquin! Nicolle! Czy rzeczywiście nie macie żadnego środka, aby zmusić uparty ten płomień do palenia się w myśl waszej tam fizyki i według praw towarzystw gazowych? — żalił się zdetonowany Francuz.

— Ależ niema tu nic nadzwyczajnego—objaśnił Nicolle. —Płomień ten pali się właśnie według praw fizyki. A towarzystwa gazowe... uważam, że zrujnowałyby się wszystkie, gdyby nie istniało prawo ciężkości. Wiadomo ci, że przy paleniu wytwarza się dwutlenek węgla, para wodna — jednem słowem, gazy niepalące się; zazwyczaj te produkty palenia nie zostają przy płomieniu: jako cieplejsze, a więc i lżejsze, zostają one wypchane przez przypływające świeże powietrze. Ale w naszym pocisku niema ciężkości — produkty palenia pozostają więc na miejscu ich powstania, okrążają płomień warstwą niepalących się gazów, zagradzając dostęp świeżemu powietrzu. Dlatego właśnie płomień pali się tak słabo, a wreszcie gaśnie.

— A więc według ciebie, — przerwał Francuz, — gdyby na Ziemi nie było ciężkości, zbyteczna byłaby straż ogniowa: pożar gasiłby się sam; zdusiłby się, że się tak wyrażę, we własnym oddechu?

— Zupełnie słusznie! A tymczasem, aby ratować sytuację, zapal no jeszcze raz maszynkę i będziemy obdmuchiwali płomień. Spodziewam się, że uda nam się stworzyć sztuczny ciąg po-

wietrza i zmusić płomień do palenia się „po ziemsku“.

Tak też właśnie zrobiono. Ardent znów zapalił maszynkę i wziął się do roboty, śledząc ze złośliwą satysfakcją, jak Nicolle i Barbiquin kolejno dmuchali i że wszystkich sił obmachiwali płomień. W głębi serca Francuz miał uczonych i ich naukę za winowajców „całej tej krętaniny“.

— Wy, kochani panowie, — trajkotał Ardent — spełniacie w pewnej mierze obowiązki fabrycznego komina, podtrzymując przeciąg. Bardzo mi was żal, uczeni moi przyjaciele, ale trudno: chcecie mieć gorące śniadanie, więc musicie podporządkować się rozkazom waszej fizyki.

Minął jednak kwadrans, pół godziny, godzina — a woda w rondlu jakoś nie miała zamiaru zagotować się.

— Co to jest? czy płomień oprócz wagi stracił również i ciepło? — dziwił się Ardent. — Chyba nie doczekam się nigdy, aby ta woda zagotowała się.

— Doczekasz się, kochany Ardencie, ja z Nicollem ręczymy ci za to. Musisz się jednak uzbroić w cierpliwość. Wiesz dlaczego woda wogóle nagrzewa się? Ponieważ następuje w niej zmieszanie stref: nagrzane niższe warstwy, jako lżejsze, zostają wypchnięte przez zimniejsze górne warstwy, które zajmują ich miejsce; w rezultacie płyn w krótkim czasie zostaje doprowadzony do jednakowej, wysokiej temperatury. O ile chcesz przyśpieszyć proces nagrzewania, to musisz ciągle mieszać wodę.

Przy takich warunkach gotowanie stawało się pracą nielada. Ardent miał rację, twierdząc, że w takiej kuchni najzdolniejszy kucharz nie dałby sobie rady. Wielkie trudności sprawiło również usmażenie befsztyku: trzeba było ciągle przytrzymywać mięso widelcem, bo inaczej sprężysta para masła, powstająca pod befsztykiem, wyrzucała go z rondla i niedosmażone mięso leciało „do góry,“ — o ile tylko można użyć tego wyrazu tam, gdzie właściwie nie było ani „góry“ ani „dołu“.

Dziwny widok przedstawiał sobą obiad w tym świecie, pozbawionym ciężkości. Przyjaciele wisieli w powietrzu w najrozmaitszych pozach, niepozbawionych wprawdzie malowniczości, i co chwila uderzali się głowami. O siedzeniu wogóle nie było mowy. Takie przedmioty, jak krzesła, ławki, kozetki, — są wogóle zbyteczne w świecie, gdzie niema ciężkości. Prawdę mówiąc, i stół byłby również niepotrzebny, gdyby nie stanowcze żądanie Ardenta, że śniadanie trzeba koniecznie spożyć „przy stole“.

Wygotowanie buljonu było, jak wiemy, pracą syzyfową, ale jeszcze trudniej było zjeść go. Przedewszystkiem, rozlanie nieważkiego buljonu do filiżanek nie udało się. Ardent ledwo nie przypłacił taką próbę stratą całodziennej pracy; zapomniawszy, że buljon jest nieważki, silnie uderzył w dno przewróconego rondla, chcąc w ten sposób wytrząść uparty buljon z naczynia. W rezultacie z rondla wyskoczyła olbrzymia kulista kropla — buljon z sferycznej formie. Ardent musiał użyć żonglerskich sztuk, aby znów schwytać i umieścić buljon w rondlu.

Spożywanie buljonu przy pomocy łyżek było niemożliwe: buljon zwilżał całą łyżkę i wisiał na niej jak płachta. Łyżki nasmarowano tłuszczem, ale i to nie pomogło; buljon bowiem w łyżce zamieniał się w małą kulkę, i w żaden sposób nie udawało się szczęśliwie doprowadzić tej pigułki do ust.

Wreszcie Nicolle znalazł środek i na to: z woskowanego papieru przyjaciele porobili rurki i spożywali buljon, wciągając go przez te rurki do ust. W ten sposób przemyślni podróżni pili przez cały czas podróży wino, wodę i wogóle wszystkie płyny.

Obserwator.

Niebezpieczne polowanie.

W angielskich pismach ukazały się artykuły znanego podróżnika, kapitana Lestocka Reid, poświęcone polowaniu na grubego zwierza. Niżej umieszczamy urywek z jego opowiadań z angielską flegmą napisanych, a jednak tak emocjonujących czytelnika.

Wiadomo powszechnie, że nazwa „gruboskórne“ oznacza gatunek zwierząt, zaopatrzonych przez naturę w solidny ochronny pancerz; inaczej mówiąc, oznacza bestję, w walce z którą myśliwy powinien używać największej kuli. Zwyczajna bowiem kula ześlizgnie się z grubej skóry zwierzęcia bez najmniejszej dla niego szkody, zostawiając niefortunnego myśliwego w niezbyt przyjemnej sytuacji.

Z naukowego punktu widzenia — „gruboskórne“ są jakimś żywym anachronizmem, pamiątką z dawno zapomnianych czasów kiedy mamut i nosorożec, brontozaurus i dintozaurus panowały nad światem, czyniąc straszne spustoszenia śród pierwotnych ludzi. Z biegiem czasu ten stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie; człowiek rozwinął się jeżeli nie fizycznie, to przynajmniej umysłowo i udoskonalił swą broń; tymczasem „gruboskórne“ straciły dużo na sile oraz na liczebności, i, o ile mi wiadomo, można je obecnie spotkać tylko w Afryce, Indjach i niektórych zakątkach tropikalnego Wschodu.

Największym i najczęściej spotykanym przedstawicielem tych ostatnich Mohikanów przedpotopowej epoki jest afrykański słoń. Różni on się od swego azjatyckiego krewniaka w wielu szczegółach, przedewszystkiem zaś tem, że ogromne jego czoło ma formę wypukłą, miast wklęsłej. Wobec tego, strzelać w żelazny łeb afrykańskiego słonia niema żadnego sensu, podczas gdy azjatyckiego słonia można położyć trupem na miejscu zapomocą jednego strzału w czoło.

Naogół biorąc, widok afrykańskiego słonia jest bardzo imponujący. Pierwszy raz w życiu widziałem słonia na wolności w okolicach południowego Nilu, niedaleko Souda. Płynęliśmy spokojnie po rzece, gdy wtem jeden z nas spostrzegł olbrzymie kształty dwóch zwierząt, posuwających się w wysokiej trawie w odległości mniej więcej jednej mili.

Z początku przyglądaliśmy się tym zwierzętom mocno zaciekawieni, ale że odległość była zbyt wielka, a trawa za wysoka, wkrótce straciliśmy je z oczu. Byliśmy już na zakręcie rzeki, gdy ten sam dalekowzroczny obserwator oświadczył, że dostrzega trąbę słonia, wzniesioną nad gęstwiną krzaków na skraju wody. Poczęliśmy się śmiać z niego i z jego strachów; ale okazało się, że miał on rację.

Skoro tylko motorówka nasza zbliżyła się do krzaków, wyłoniła się z nich jakaś czarna masa z trąbą wygiętą do góry (aby lepiej zwęszyć wroga), z olbrzymiemi uszami, sterczącemi jak dwa parasole—i zasłoniła nam cały horyzont. Widziałem później wiele słoni na bliższy dystans (nie mając przytem bezpiecznej zasłony w postaci rzeki), ale zdaje mi się, że nigdy nie odniosłem już tak silnego wrażenia: wrażenia ogromnych rozmiarów i wspaniałej siły.

Bliska znajomość pociąga zwykle za sobą lekceważenie; lecz nawet najbardziej doświadczony myśliwy nie ośmieli się lekceważyć sobie afrykańskiego słonia, spotkanego w dżungli, nawet, kiedy obydwie strony nie mają wrogich zamiarów. Imponuje nam nie wielkość zwierzęcia (chociaż i ona bywa przerażająca), nie ogromna siła tego olbrzyma, lecz jakieś dziwne

uczucie bojaźni wobec tego największego dzieła natury. Bojaźń ta pozostała w naszym umyśle, jako atawizm, jeszcze od epoki, kiedy nasi praprzodkowie musieli walczyć z jeszcze mocniejszemi potworami, nie mając innej broni prócz kamiennego noża lub grotu o krzemiennem ostrzu.

Moje najbardziej emocjonujące spotkanie ze słoniem miało miejsce niedaleko od rzeki Łuwua. Około godziny siódmej rano, gdy konno przybyłem do maleńkiej murzyńskiej wsi, odrazu spostrzegłem wielkie podniecenie, panujące śród ludności. Trzeba zaznaczyć, że wówczas utykałem mocno na jedną nogę (nosiłem nawet zamiast buta pantofel, z powodu dużej opuchliny) i nie miałem innych zamiarów, prócz zastrzelenia perliczki na śniadanie. Dziwne zachowanie się tłumu zaciekawiło mnie.

— Co się stało? — zapytałem.

— Słoń w manjoku (roślina, której korzenie są jadalne).

Byłby wielki grzech, gdybym nie skorzystał z takiej sposobności.

— Dobrze. Gdzie jest ten słoń?

Ku memu wielkiemu zdumieniu tubylcy wcale nie byli zachwyceni moim zamiarem upolowania dla nich słonia. Naczelnik prosił mnie o porzucenie tego zamiaru; przytaczając najfantastyczniejsze szczegóły, tłumaczył, że ten słoń jest warjatem, że zabił już wielu ludzi, że tego słonia kula się nie ima, że zwyciężył on już niezliczonych myśliwych i t. d.

Naturalnie, nie dałem wiary tym bredniom (chociaż później przekonałem się, że zawierały one sporo prawdy) i wyruszyłem na poszukiwanie słonia w towarzystwie naczelnika, który miał pokazywać drogę. W zaroślach manjoku, niedaleko wsi, spacerował spokojnie duży słoń, oddalając się powoli w kierunku gęstych krzaków, otaczających pole. Słoń skrył się w tych krzakach, nim zdążyliśmy się zbliżyć na dystans strzału karabinowego.



... słoń z zadartą trąbą parł ku mnie z szybkością lokomotywy.

Cała ziemia naokoło porosła tak wysoką i gęstą trawą, że nic nie było widać nawet na odległość pięciu metrów: niezbyt wygodny teren do polowania na słonia, zwłaszcza na egzemplarz, cieszący się tak głośną

reputacją. Ale, podczas polowania, człowiek zapomina o wszystkiem; a więc, w towarzystwie dwóch niezbyt pewnych siebie pomocników, skierowałem się śmiało ku miejscu, skąd dochodził mnie trzask łamanych gałęzi. Naraz w odległości mniej więcej 40 mtr. mignęły między drzewami niewyraźne kształty ogromnej czarnej masy, i jednocześnie lekki powiew wiatru musnął mi policzek. Kierunek wiatru zmienił się!

Następne wypadki potoczyły się o wiele szybciej, aniżeli trwa czas tego opisu. Nie wahając się ani chwili, ku zdumieniu wszystkich, słoń rzucił się do ataku.

Mój giermek, jak go z grzeczności nazywam, czmychnął jak zając, unosząc ze sobą nietylko zapasowy mój karabin, ale również i ładownicę, którą z zasady zawsze noszę przy sobie, jednak tym razem, wobec tego, że kulałem, wręczyłem jemu. Naczelnik znów widocznie przypomniał sobie bardzo pilną sprawę w innem miejscu, — tak że w rezultacie pozostałem samotny z dwoma nabojami w dubeltówce kalibru 470 i jedną zdrową nogą.

Wybrałem najgrubsze drzewo, znajdujące się wpobliżu, — prawda nie wytrzymałoby ono nacisku nawet kozła, — i, upatrzywszy sobie maleńką polankę długości jakich 10 metrów, zdecydowałem się strzelać wtedy, gdy słoń ukaże się na niej. Ujrzałem olbrzymią głowę z zadartą trąbą i sterczącemi uszami, która parta ku mnie z szybkością lokomotywy. Usłyszałem straszny dźwięk, jedyny w swoim rodzaju: ryk rozjuszonego słonia... i zacząłem się poważnie zastanawiać, poco właściwie opuściłem Anglję?

W chwili, gdy słoń dotarł do skraju polany, podmuch wiatru zdradził mu bliską obecność zbiegłego giermka. Słoń, nie zmieniając szybkości biegu, dokonał półobrotu w lewo i, zanim zdążyłem wycelować, skrył się w gęstwinie, czyniąc straszliwy hałas.

Dotąd nie zdaję sobie sprawy, czy nagły odwrót słonia był dla mnie szczęściem, czy też zwykłym „pechem" myśliwego...

W każdym razie nie mogłem pozostawić tej sprawy w takim stanie i, odpowiednio „nagrodziwszy" odważnego giermka, powróciłem tegoż wieczoru do krzaków; słoń jednak spoczywał na laurach i nie raczył pokazać się. Nie pokazał się również następnego poranka. Nazajutrz wieczór przyjaciele moi — Belgijczycy, którzy dowiedzieli się o mojej przygodzie, uprosili mnie, abym wziął ich ze sobą na polowanie.

Wtedy właśnie nastąpił najbardziej emocjonujący finał.

Mieliśmy do rozporządzenia wszyscy razem sześć karabinów — trzech Belgijczyków, ja i dwóch askari (murzynów-myśliwych). Do zachodu słońca błądziliśmy w zaroślach, szukając tego, ciągle wymykającego się, słonia. Wszystko napróżno. Wkońcu, daliśmy za wygraną i zadecydowaliśmy zawrócić przez Kiambi i przez rzekę — przy mdłem świetle wschodzącego księżyca. Nagle usłyszeliśmy straszny hałas we wsi, znajdującej się na prawo od drogi: jakiś murzyn co tchu przybiegł do nas i w wielkiem podnieceniu powiedział, że stado słoni niszczy ich wieś.

Strzelanie przy świetle księżyca jest sprawą niezbyt przyjemną, a w dodatku nader niebezpieczną. Jednak, bądź co bądź wyszliśmy z zamiarem upolowania słonia, a więc, zboczywszy z drogi, pośpieszyliśmy do wsi, — i, zupełnie niespodzianie, znaleźliśmy się nagle w samym środku stada.

Scena, która nastąpiła, nie da się opisać. Mieliśmy wrażenie, że piekło rozpętało swe moce. Słonie trąbiły, bębny warczały, biali myśliwi krzyczeli, murzyni wrzeszczeli, karabiny trzaskały, a kule świstały „pieśń odwetu". Widziałem kilka potyczek podczas ostatnich rozruchów murzyńskich, nie szarpały one jednak nerwów w tym stopniu, co ta scena. Zbłąkana jakaś kula zerwała mi kawałek hełmu, rzuciłem się tedy na ziemię, schroniwszy się za przygodnym pagórkiem, do którego przedtem dwa razy wystrzeliłem, biorąc go za słonia.

Na nieszczęście, inni też padli

ofiarą tego złudzenia. Jakiś gentelman, —prawdopodobnie ascari, — opróżnił cały magazyn, strzelając do mego pagórka, dopóki zrozpaczony nie strzeliłem do niego, aby odebrać mu chęć kontynuowania tej zabawy. Murzyn szybko znikł, a wnet potem trzy słonie (było ich wszędzie pełno) rzuciły się ku mojej kryjówce. Strzeliłem i powaliłem jednego — w słabem świetle był to tylko przypadek, — pozostałe zaś dwa przebiegły koło mnie tak blisko, że mógłbym ręką dotknąć ich grubej skóry.

Był to punkt kulminacyjny tej bitwy, o ile chodziło o mnie. Minęło jednak jeszcze parę minut, aż straszna kakofonja krzyków, strzałów, ryków i wycia umilkła, a słonie wreszcie zdecydowały się na czyn, który powinny były oddawna wykonać, a mianowicie: znikły gdzieś w ciemnościach, pozostawiając nas panami sytuacji.

W bitwie tej ucierpiały: trzy słonie, mój hełm, jeden Belgijczyk ze złamaną kiścią, — który twierdził jakoby słoń na niego nastąpił — i jeden wieśniak, postrzelony w rozgardjaszu (bo przy takiej okazji zawsze najmocniej obrywa widz).

Biorąc wszystko pod uwagę, sądzę, że szkody były zadziwiająco małe; ale stary samiec — *fons et origo mali* (źródło i początek złego) nie pokazał się podczas bitwy, i później również nie spotkałem go. Jak mądrze zauważył naczelnik, słoń ten był sprytniejszy niż niejeden strzelec.

II.

Bezpośrednio za słoniem, według wielkości (ale nie według znaczenia) idzie hipopotam, czyli koń rzeczny. Dlaczego *koń* rzeczny, pozostaje dla mnie tajemnicą; jest to poprostu ohydną obrazą najszlachetniejszego ze zwierząt. Nazwa świni rzecznej byłaby bardziej trafna; gdy widzimy bowiem hipopotama w wodzie, jak wynurza na powierzchnię oczy, uszy i olbrzymi ryj, wówczas podobieństwo jego do wielkiego wieprza staje się wręcz komiczne.

W dodatku hipopotam zawsze bywa taki tłusty, taki łagodny, tak po głupiemu zadowolony z własnego losu, że, patrząc na niego, nie można powstrzymać uczucia sympatji, nie pozbawionej odcienia lekceważenia. Bardzo charakterystyczne pod tym względem jest to, że hipopotama nikt nie nazywa jego pełną dźwięczną nazwą, lecz zawsze bez ceremonji — „hippo".

Mimo potężnych rozmiarów (koń rzeczny ma do 40 stóp długości i waży od dwóch do trzech tonn) — „hippo" jest bardzo łagodnem i nieszkodliwem zwierzęciem. Mając tak ogromne kły i mocny ochronny pancerz, narówni z innemi gruboskórnemi, — „hippo" byłby wielce nieprzyjemnym klientem dla myśliwego, gdyby był bardziej złośliwie usposobiony. Trzeba powiedzieć, że nietylko „byłby", ale niekiedy i „bywa", bo nawet najłagodniejsze zwierzę miewa czasem ataki furji, a „hippo" też nie jest wyjątkiem z tej reguły.

Najczęściej jednak hippo powstrzymuje się od zbyt gwałtownych wybuchów złości, zwłaszcza, jeśli znajduje się w swoim żywiole, t. j. w wodzie. Zdarza się czasem, że myśliwy przeszkodzi hipopotamowi w jego ulubionem nocnem zajęciu, t. j. w opychaniu się trawą i latoroślami (normalna porcja nocna — trzy korce!). Wtedy hippo stara się jak najprędziej dostać się zpowrotem do rzeki lub jeziora. Lecz biada myśliwemu, który wyszedł spędzić miłą godzinkę na strzelaniu hipopotamów przy świetle księżyca, i stanął nieostrożnie na drodze między uciekającym zwierzęciem i rzeką!

Ogromne szczęki „hippo" mogą (znam kilka takich wypadków) jednem uderzeniem przeciąć człowieka na pół.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tłumacz. z angielskiego
B. Nowicki.

SPORT

Mężowie stanu — sportowcami.

Rozkwit kultury fizycznej w Anglji.— Rywalizacja Ameryki. — Wybitny sportowiec — prezydentem. — Kilka szczegółów z życia Roosevelta.

„Mr. Lloyd Georges wyjeżdża do Cannes celem wzięcia udziału w grze w golfa“. Taką notatkę znajdujemy w angielskich pismach. Wiadomość ta nie powinna nas zadziwić, gdyż wszyscy prawie wielcy mężowie stanu dumnego Albionu są gorącymi zwolennikami sportu.

Temu właśnie zawdzięczamy olbrzymi rozwój sportu w imperjum Brytyjskiem. Wysocy dygnitarze dają przykład, gorliwie naśladowany na wszystkich szczeblach drabiny socjalnej

Posłowie, którzy dawniej znani byli, jako championi lub znakomici atleci, stanowią poważny odsetek śród członków Izby Gmin. Nawet poczciwa Izba Lordów organizuje w każdym sezonie kilka turniejów dla swoich „parów“.

Niebezpieczny konkurent Europy, potężna Ameryka prześcignęła pod tym względem stary kontynent; wszystkie rodzaje sportu doszły tam do niebywałego rozkwitu.

W Stanach Zjednoczonych żyją jeszcze legendy o nieustraszonym podróżniku i wielkim mężu stanu — prezydencie Roosevelcie, który był nietylko zapalonym myśliwym, ale również i niepospolitym atletą.

Jak tylko Teddy został „pierwszym obywatelem” rzeczypospolitej amerykańskiej, zaprosił do Białego domu boksera Mika Donova oraz słynnego zapaśnika Wiljama Mulduuna. Ten ostatni jest obecnie jednym z najbardziej wpływowych członków sportowej komisji stanu New-York.

Codziennie przed przystąpieniem do pracy urzędowej, jak również po skończeniu jej, Roosevelt trenował się z jednym z tych atletów w boksie lub w walce francuskiej.

Pewnego razu prezydent Roosevelt, oczywiście, występując jako osoba prywatna, wziął udział w matchu bokserskim i w walce z oficerami marynarki, w której zwyciężył przeciwnika, otrzymał tak silny cios w lewą skroń, że w krótkim czasie zaniewidział na lewe oko.

Prezydent, jak prawdziwy stoik, ukrył przed całym światem swoje nieszczęście, a po raz pierwszy przyznał się do tej ułomności w dzień, kiedy skończyła się jego prezydentura i kiedy na zawsze opuścił Biały dom.

Odtąd, idąc za przykładem najwyższego dostojnika państwa, prawie wszyscy mężowie stanu Ameryki, jak również wielcy przemysłowcy i finansiści, poświęcają część dnia na sport i kulturę fizyczną.

Jest to rzeczywiście zastosowanie w życiu rzymskiej zasady *mens sana in corpore sano.*

* * *

Teddy Roosevelt lubił otoczenie starych przyjaciół, z którymi często udawał się w dalekie podróże.

Pewnego razu Roosevelt z przyjaciółmi — między którymi znajdował się również p. Jusserand, ambasador Francji, — bawił w stanie Virginia.

Podczas wycieczki za miasto, prezydent nagle zaproponował towarzyszom

przepłynąć rzekę i sam pierwszy w ubraniu rzucił się do wody. Kilka mocnych uderzeń i znalazł się na przeciwległym brzegu, gdzie było przyszykowane dlań suche ubranie (bo wszystko było przewidziane zawczasu, i wspaniałe limuzyny ze spuszczonemi firankami czekały na towarzystwo).

— Hallo,—krzyknął Roosevelt, — nikt nie chce przepłynąć rzeki? Czy boicie się pójść za moim przykładem?

towarzysze prezydenta. Jedynie senator Lodge nie chciał użyć kąpieli.

—Dopiero co piłem doskonałe whisky — tłumaczył się, — i nie mam zamiaru rozwodnić tego napoju.

Wesoła ta scena pociągnęła za sobą zgoła niespodziewane następstwa.

W tydzień później przyjaciele Tedd'ego w senacie głosowali za urządzeniem obszernej sali gimnastycznej, obficie zaopatrzonej we wszystkie przy-



Angielski arystokrata, członek Izby Lordów, przylatuje na własnym samolocie, aby wziąć udział w rozgrywkach sportowych.

— Przepraszam,—odezwał się Jusserand; — przedstawiciel Francji nie boi się niczego.

I, rzuciwszy się do wody—przepłynął rzekę.

Kiedy Jusserand wychodził na brzeg, prezydent roześmiał się.

— Ależ panie ambasadorze, od kiedy to pływa pan w rękawiczkach?

— Nigdy, panie prezydencie — odpowiedział dowcipnie Jusserand, — ale teraz mogłem w tych limuzynach spotkać panie, których nie mógłbym przywitać bez rękawiczek.

Zkolei przepłynęli rzekę pozostali

rządy, niezbędne dla uprawiania sportu: walki i boksu.

Odtąd, podczas przerw między posiedzeniami senatu, można widzieć sędziwych prawodawców przykładnie częstujących się pięściami, lub też czołgających się na dywanie, i sumiennie zgłębiających tajemnicę walki francuskiej

Za przykładem wielkich dygnitarzy młodzież amerykańska tłumnie garnie się do sportu. U nas w Polsce sprawa ma się inaczej, młodzież nasza również rwie się do sportu, ale, niestety, nie zawsze znajduje należyte zrozumienie wśród starszego społeczeństwa.

F. Janczewski

EKRAN

Najlepsze miejsce w kinie.

Praktyczna wskazówka dla amatorów kina.

Bywalcy kina spostrzegli już oddawna, że w niektórych filmach figury artystów tak jasno wyróżniają się na tle obrazu, że zdają się odstawać od płótna, od ekranu; wywołuje to niekiedy nawet iluzję, że płótna niema, a że przed nami poruszają się żywi ludzie na prawdziwej scenie.

Ta jasność i „wyrazistość“ obrazu bynajmniej nie zależy od samego filmu, jak to się wielu wydaje, lecz wyłącznie od miejsca, gdzie się znajduje widz. Zdjęć kinowych dokonywa się zapomocą aparatów z krótką odległością ogniskową (10 cm.); lecz na ekranie oglądamy te zdjęcia w powiększonych rozmiarach. Ponieważ powiększenie to bywa najczęściej stokrotne, więc oglądać obraz możemy również z dość dalekiej odległości (10 cm. × 100 = 10 mtr.). Największą jasność i wyrazistość osiągamy wtedy, gdy patrzymy na obraz pod tymże kątem, pod jakim aparat fotograficzny „patrzał“ na artystę podczas zdjęcia. Wtenczas będziemy mieli t. zw. „naturalną perspektywę“.

Jakże znaleźć odległość, odpowiadającą takiemu najlepszemu kątowi widzenia? Otóż, przedewszystkiem, należy na sali wybierać miejsce, znajdujące się naprzeciw środka obrazu. Miejsce to powinno się znajdować w pewnej odległości od ekranu; odległość ta powinna być większa od szerokości obrazu o tyle razy, o ile odległość ogniskowa aparatu fotograficznego jest większa od szerokości taśmy kinowej.

Wszystkie te formułki nie są bynajmniej tak trudne, jak się napozór wydaje; sprowadzają się bowiem do jednej prostej i praktycznej zasady.

Odległość ogniskowa aparatu fotograficznego, używanego do zdjęć filmowych, równa się zazwyczaj 5—7cm., szerokość taśmy zaś waha się między 2 — 3 cm. Liczby przeciętne dadzą nam stosunek:

$$\frac{\text{odl. niewiad.}}{\text{szer. obrazu}} = \frac{\text{odl. ogn.}}{\text{szer. taśmy}} = \frac{6}{2^1/_2} = 2\frac{2}{5}.$$

A więc, aby znaleźć najlepsze miejsce na sali kinowej, należy szerokość obrazu powiększyć mniej więcej w $2^1/_2$ raza. Tak, np., jeżeli szerokość obrazu równa się, w przybliżeniu, 6 krokom, to najlepsze miejsca znajdują się w odległości ($6 \times 2^1/_2$) piętnastu kroków od ekranu.

Wynika stąd przedewszystkiem, że najdroższe miejsca w kinie nie są bynajmniej najlepsze. Drugą wskazówką, którą możemy wyciągnąć z tego artykułu, jest to, że nawet wybór odpowiedniego miejsca w kinie powinien uzasadniać się na pewnych prawach fizyki; ściślej mówiąc, optyki. Mało komu z czytelników jest znane, że nawet tak powszednia rzecz, jak przeglądanie fotografij i reprodukcyj w pismach ilustrowanych wymaga też zastosowania pewnych praw optycznych; że przy zwykłem przeglądaniu nie widzimy na fotografji tego, co widzieć możemy. Przy pewnej dozie umiejętności i wprawy, każda najzwyczajniejsza fotografja staje się zdjęciem kalejdoskopowem; nabiera połysku i życia. W jednym znajbliższych numerów „M. P.“ postaramy się obznajmić czytelnika z arkanami tej nauki: jak należy oglądać fotografję, aby dostrzec te wszystkie walory, które zdjęcie rzeczywiście posiada.

Fl. Zieliński.

TO i OWO

Wdzięczny autor.

Praca pisarzy angielskich, cieszących się wielkiem powodzeniem zarówno w swej ojczyźnie, jak i w Ameryce, przynosi im nietylko laury, ale często i majątek. Tak naprzykład, autor znakomitych hinduskich opowiadań i „Księgi Dżungli" — Rudiard Kipling otrzymywał za każdy wyraz jeden shilling (około 2 złotych 20 gr.).

Jakiś Anglik, dowiedziawszy się z gazet o bajkowem honorarjum Kiplinga, postanowił zażartować sobie z wielkiego pisarza: posłał mu czek na jeden shilling i list o treści następującej:

„Szanowny Panie! Będę niezmiernie szczęśliwy, o ile zechce Pan za załączone honorarjum przesłać mi jakikolwiek utwór pióra Pana".

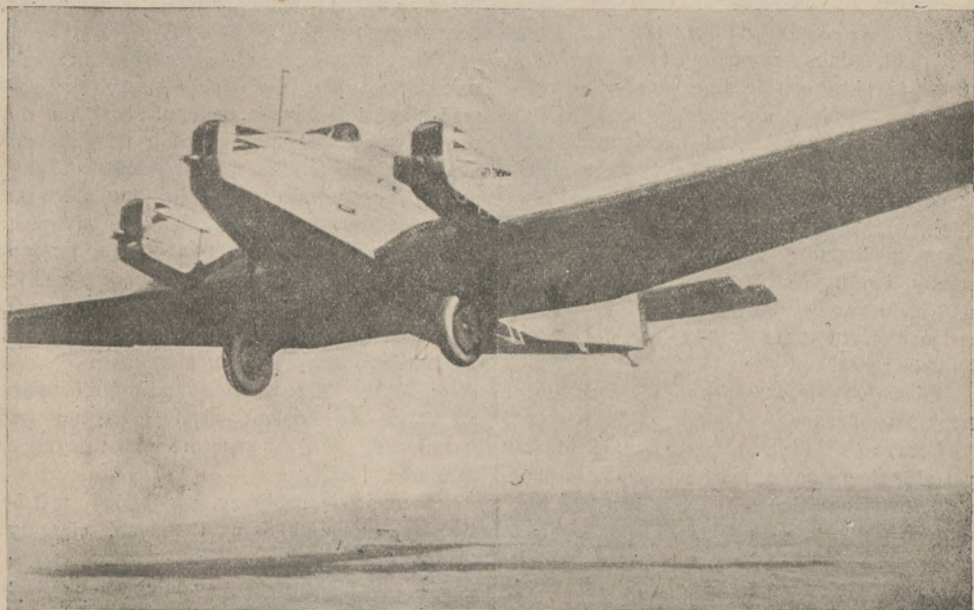
Znakomity powieściopisarz nie zastanawiał się zbyt długo: nadesłany czek przyjął, a nadawcy posłał list, zawierający jeden tylko wyraz: „Dziękuję".

Boa — domowem zwierzęciem.

Czy żmija może być domowem i pożytecznem zwierzęciem? Mieszkańcy Brazylji dawno już odpowiedzieli twierdząco na to pytanie.

Plagą gospodarza brazylijskiego były wielkie szare szczury, które z centralnej Azji przybyły do Brazylji na okrętach, przyczem załogi okrętów, mimo najenergiczniejszych wysiłków, nie mogły pozbyć się tych natrętnych i bezpłatnych pasażerów.

Rozpoczęła się więc zaciekła walka człowieka ze szkodliwemi gryzoniami. W walce tej człowiek po raz pierwszy użył pomocy żmij. W Brazylji żyje specjalny gatunek węża-boa, grubości ręki ludzkiej, długości zaś do pięciu metrów. Węże te przez pewien czas tresuje się, przyzwyczajając je przedewszystkiem do wstrzemięźliwości wobec kur i innych przedstawicieli ptactwa domowego. Następnie dzielna gospodyni szeroko otwiera im podwoje swego mieszkania, będąc już zupełnie spokojna o bezpieczeństwo życia domowników, jak również zwierząt domowych, których dobrze wychowany boa nie skrzywdzi.



Jeden z cudów współczesnej techniki. Olbrzymi samolot, zbudowany przez Niemcy, przewozi w swych komfortowych kabinach 60 pasażerów oraz wielką ilość towarów.

Dnie spędza boa w jakimś kącie, gdzie leży, zwinięty w kłębek, w nocy zaś wyrusza na polowanie i prześladuje szczury wszędzie, poczynając od piwnicy, a kończąc na poddaszu. Do polowania pobudza żmije nie tyle głód, ile myśliwskie instynkty, gdyż większą część zdobyczy pozostawiają one nietkniętą.

A więc ilość zwierząt, oswojonych przez człowieka, znów powiększyła się! W niedalekiej przyszłości każdy gospodarz w Brazylji obok psa, kota i konia, będzie miał nowego przyjaciela... żmiję.

Szczęście w nieszczęściu.

Sportowa karjera boksera Humery, jednego ze słynnych asów „wagi pióra", obfituje w drastyczne i niepozbawione komizmu momenty. Przez długie lata Humery był idealnem wcieleniem typu „pechowca" w dziedzinie boksu. W ciągu kilku lat występował on w charakterze amatora i 36 razy zrzędu walczył ze zdumiewającym wynikiem — 36 przegranych! Trenerzy twierdzili, że Humery jest za ciężki na swoją klasę i zbyt „czuły" na uderzenia w okolicę żołądka. Humery zaś przypisywał winę zanadto „delikatnym" sposobom walki, przyjętym śród amatorów, i wobec ciągłych niepowodzeń zdecydował się zostać... bokserem zawodowym. Ale szczęście nie dopisywało mu również i na tem polu. Jako zawodowiec występował cztery razy i wszystkie cztery razy był pobity przez knock-out. Humery zdążył już ustanowić osobliwy rekord światowy... największą ilość przegranych. Przyjaciele radzili mu porzucić zawód bokserski i zająć się lepiej wyrabianiem cukierków. W niezbyt świetnym humorze Humery wycofał się z areny i powrócił do rodzinnej wsi. Tam zaś, nadomiar złego, spadł jednego razu bardzo niefortunnie z drzewa i złamał sobie obydwie ręce...

Zdawałoby się, że karjera nieszczęśliwca jest już skończona.

Lecz to ostatnie niepowodzenie, dziwnym zbiegiem okoliczności, wyszło naszemu bohaterowi na dobre. Przedewszystkiem, podczas pobytu w szpitalu, zmuszony do bezczynności, Humery utył i przybrał na wadze, tak, że po wyjściu ze szpitala został zaliczony do klasy „Bantam". Po długie, złamane przeguby rąk zrosły się i stały grubsze i mocniejsze. Humery powrócił znów na ring i wygrał... po raz pierwszy w życiu.

Od tego czasu walczył Humery dwanaście razy i wygrał wszystkie 12 walk przez knock-out. Obecnie, nie mając już przeciwników w swojej klasie, awansuje on do następnej, t. zw. klasy „wagi pióra". Rzeczywiście, zmienne są losów koleje, może powiedzieć o sobie ta nowa gwiazda na firmamencie sportowym.

Człowiek o niezwykłej energji.

Z tysiącznych rzesz amatorów, którzy widzieli i podziwiali cudowne obrazy Anglika Bertrama Chylsa, zmarłego przed paroma laty w Londynie, niewielu znajdzie się takich, którzy znają szczegóły nadzwyczajnej karjery tego utalentowanego malarza.

Mając zaledwie lat osiem, Chyls dostał się pod wagon tramwaju; chłopca wyciągnęli z pod kół ze zdruzgotanemi rękami. Niezbędna była natychmiastowa operacja: musiano odjąć obie ręce *aż* po ramiona. Nieszczęście było tem okropniejsze, że rodzice Bertrama byli bardzo ubodzy i wszystkie nadzieje pokładali w synu, który miał być podorą rodziny. Od maleństwa bowiem Bertram wykazywał tak nadzwyczajne zdolności rysunkowe, że jeden ze znanych malarzy udzielał mu nawet bezpłatnych lekcyj.

Straciwszy ręce, nie stracił Bertram jednak odwagi; przyszło mu do głowy spróbować pisać i malować... ustami. Brał on do ust ołówek i, zapomocą ruchów warg, starał się nadać mu ten lub inny kierunek. Z początku nie udawało mu się to, ale Bertram nie dawał za wygraną. Codziennie chłopiec uparcie pracował przez kilka godzin, aż po dwóch latach nauczył się pisać litery i kreślić na papierze prawidłowe linje. Nie miał jeszcze jedenastu lat, gdy cała szkoła zachwycała się już jego artystycznym i pięknym rysunkiem. Mając lat trzynaście bezręki chłopiec przystąpił do konkursowego egzaminu do technicznej szkoły i świetnie zdał wszystkie egzamina.

Pierwsze jego obrazy, wystawione w Bristolskiej Akademji Sztuk Pięknych, cieszyły się ogromnem powodzeniem: wszystkie gazety z uznaniem pisały o młodym talencie i obrazy zostały rozprzedane po bardzo wysokich cenach. Zamówienia napływały ze

Dziwy ze świata owadów.



wszystkich stron; Bertram stał się odrazu zamożnym człowiekiem i mógł teraz ziścić swe dawne marzenie: wyjechać na studja do Paryża. Młody malarz specjalizował się w malarstwie dekoracyjnem i wkrótce zasłynął jako najlepszy dekorator. Na konkursie podczas wystawy Paryskiej w 1900 roku otrzymał on pierwszą nagrodę. Wielu znawców sztuki, nie wiedząc o jego ułomności, z entuzjazmem odzywało się o „pewności ręki" malarza.

Bertram Chyls należy do najwybitniejszych malarzy angielskich. Obrazy jego wyróżniają się subtelnością linij, wysokim artyzmem i nadzwyczajnie pięknym kolorytem. Żelazna wola, energja i usilna praca tego człowieka okazały się silniejsze aniżeli ślepy los: ubogi kaleka stał się wielkim artystą i chlubą swego narodu.

Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy

jest dobrze znany wszystkim miłośnikom gwiaździstego nieba. Odległość, która nas od tych gwiazd dzieli, wyraża się w bardzo długim szeregu cyfr. Szereg ten postaramy się skrócić, aby czytelnik mógł się lepiej zorjentować w tej odległości.

Określmy odległość od ziemi do słońca jako jednostkę, pomnóżmy ją przez 12,500.000, a wtedy dopiero otrzymamy przestrzeń, dzielącą nas od Wielkiej Niedźwiedzicy.

Podnosząc głowę do góry, wyobrażamy sobie, że widzimy ten gwiazdozbiór takim, jakim on jest w chwili obecnej. Niestety, jest to tylko bogata wyobraźnia! Widzimy ten gwiazdozbiór właściwie takim, jakim on był przed dwoma wiekami, gdyż światło, przebiegając 300.000 kilometrów na sekundę, dochodzi do nas od Wielkiej Niedźwiedzicy dopiero po 200 latach!

Przedpotopowy struś.

Niedawno w Polinezji znaleziono szkielet ptaka z przedpotopowej epoki, należącego do gatunku strusiów. „Ptaszyna" ta ma od głowy do stóp 5 metrów. Wyobraźmy sobie, jak ona wyglądała, kiedy miała skórę, mięso i pióra, — kiedy sam jej szkielet sięga pięciu metrów wysokości! A jakim nędznym stworzeniem wydaje się przed nią najwyższy bodaj człowiek!



Na rysunku u dołu widzimy tropikalną muchę, bardzo podobną do... małpy. Głowa zaś „smoka," którą widzimy u góry, należy do zgoła niestrasznego chrabąszcza z Afryki Centralnej. Duże „oczy" smoka są w rzeczywistości tylko plamami na głowie owada.

Rozrywki umysłowe

Krzyżowka.

Ułożył „HER—MAN"

Znaczenie wyrazów:

Wyrazy poziome:
1) Pan turecki. 2) Stolica państwa europejskiego. 4) Przejściowy stan chełbi modrej. 9) Zaimek osobowy. 14) Miara ziemi 6) Bóstwo egipskie (wspak). 17) Obrazek przedstawiający kogokolwiek w śmiesznej postaci. 19) Okres czasu. 20) Znak chem. pierwiastka. 21) Port w Dalmacji. 23) Żeńskie imię cygańskie. 25) Rzeka we Włoszech. 27) Skrót na szyldach. 30) Ciało lotne. 36) Karta. 37) Litera grecka (wspak). 42) Nuta. 44) Dopływ Wisły. 45) Miejsce, koło którego rozegrała się wielka bitwa Greków z Persami. 47) Wykrzyknik zmęczenia. 49) Nuta (wspak). 50) Wąs po rosyjsku (wspak) 51) 35 wspak. 52) Stwórca. 54) Ruch w powietrzu. 57) Rzeka w Niemczech. 58) Półwysep zamieszkany przez Arabów. 61) Liczebnik. 62) Litera (fonet.). 63) Znak chem. pierw. (wspak). 64) Przyimek. 66) Mieszkania pszczół. 68) Polski pisarz. 71) Rosyjskie miasto niedaleko Tuły. 73) Miasto na Sycylji. 74) Nowela Sienkiewicza. 75) Nieżywa.

Wyrazy pionowe:
1) Wykrzyknik zniechęcenia. 2) Mieszkanie akademików. 3) Rodzaj utworu. 5) Rodzaj utworu. 6) Zaimek. 7) Zwierzę domowe. 8) Słynny napad węgierski. 10) Półwysep europejski. 11) Zmienny zwyczaj. 12) Miasto polskie. 13) Kwiat polny. 15) Zabawa. 17) Stambuł. 18) Działo. 22) Porozumiewanie się piśmienne. 24) Wada wzrokowa. 25) Pożegnanie dziecinne. 26) Znak Osmu. 27) Sam jeden. 28) Moneta perska. 29) Roślina ogrodowa. 31) Rodzaj rozrywki umysłowej. 32) Największe miasto w Polsce. 33) Mieszka w wodzie. 34) Miasto w Rosji. 35) Patrjarcha konstantynopolitański za czasów ces. Teodorjusza II, twórca herezji. 38) Rodzaj broni. 39) Miasto w płn. Włoszech. 40) Miasto na poł. wsch. Polski. 41) Miasto nad m. Kaspijskiem. 43) Kałuża. 45) Konsul rzymski który toczył walkę z Jugurtą. 46) Roślina. 48) Wykrzyknik obrzydzenia. 49) Litera (fonet). 53) Chemiczny znak srebra. 54) Przestrzeń porośnięta drzewami. 55) Módl się, w jęz. martwym. 55) Zwierzę domowe w liczbie mnogiej. 59) Zabawy taneczne. 60) Litera (fonet). 65) Zjawisko morskie. 67) Bożek miłości. 69) Skorupiak morski. 70) 9-ta i 16-ta litery alfabetu. 71) Zaimek wskazujący. 72) Jeden bez drugiego. [4]

Partja domina.

Ułożył J. WIERZBICKI

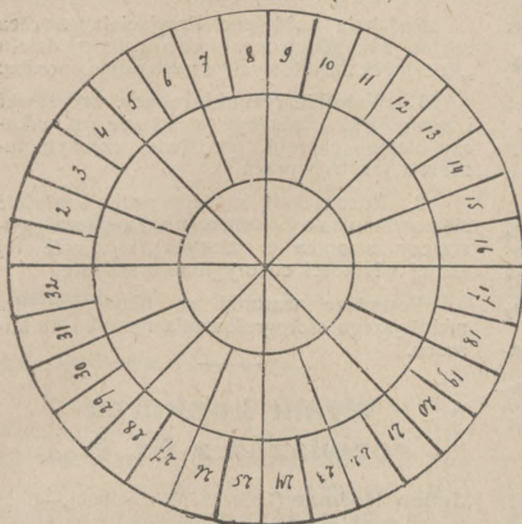
Grają A. z B. A miał następujące tabliczki: (p. rysun.)

Taką samą ilość tabliczek ma B. Reszta tabliczek pozostaje w zapasie. Gra miała przebieg następujący:

A. rozpoczyna, B. dostawia, A. stawi podwójną tabliczkę. B. pasuje, A. dostawia, B. stawi podwójną, A. dostawia, B. pasuje, A. dostawia. B. również, A robi domino (kończy grę). Jakie kamienie miał B., i jaki był przebieg partji, jeżeli suma wystawionych tabliczek wynosi 68, zapas — 69 i pozostałych u A. — 8?

Mozaika.

Nad. N. CYNAMON (Płock)



Objaśnienie: Litery w małem kole są wspólne dla 4 wyrazów. Litery w środkowem kole są wspólne dla 2 wyrazów.

Uwaga: Wyrazy czytamy dośrodkowo.

Znaczenie wyrazów: 1. Oprawca. 2. Mała łódka. 3. Masa spajająca. 4. Pierwiastek. 5. Ptak. 6. Organ. 7. Zwierzę. 8. Czart. 9. Cios. 10. Subtancja lotna. 11. Przykrycie głowy. 12. Roślina. 13. Rodzaj prosa. 14. Dopływ Warty. 15. Choroba. 16. Ptak domowy. 17. Roślina. 18. Potwierdzenie. 19. Łoskot. 20. Drzewo. 21. Ptak. 22. Rzeka. 23. Zabawa. 24. Miara długości. 25. Porządek. 26. Pierwiastek. 27. Przyimek. 28. Trucizna. 29. Inaczej ryknięcie. 30. Gwiazda. 31. Skorupiak 32. Roślina. [2].

Zagadka konikowa.

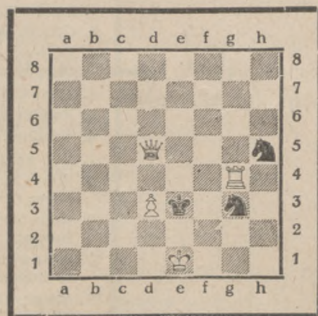
Nadesłał W. WARYSZEWSKI (Warszawa)

N	W	F	Ł	E	I
I	Z	K	Y	I	O
A	I	G	V	P	L
O	G	B	E	Ż	G
E	U	**C**	Z	Ł	A
I	A	D	P	I	Ą

Zaczynając od litery „C" obejść ruchem konika szachownicę, odczytać zagadkę i podać rozwiązanie [3]

Kącik szachisty.

Zadanie szachowe Nr. 5.



Białe rozpoczynają i dają mat w 2 posunięciach. [2]

Zadanie łamigłówkowe.

Nadesłał LEON OBSTFELD (Kraków).

1		A	A	A	A	A	
2		A	A	A	A	B	
3	C	E	E	E	E	E	F
4	H	K	K	L	M	M	N
5	N	N	N	O	O	R	R
6		R	R	S	S	T	
7		T	T	T	W	Z	

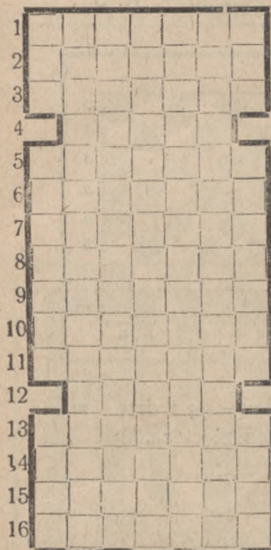
Z podanych liter ułożyć 7 (siedm) wyrazów, wśród których naskos powstanie kwadrat, oznaczający imię i nazwisko sławnego powieściopisarza francuskiego.

Kwadrat ten ma być czytany w kierunku posuwania się wskazówek zegara.

Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ Wisły. 2) Miasto w Europie środkowej. 3) Zarys (inaczej). 4) Miasto syryjskie. 5) Mączna potrawa. 6) Śpiewy ptasie (inaczej). 7) Jedno z największych bogactw naturalnych Polski [3.]

Logogryf.

Nadesłał WALERJAN WARYSZEWSKI (Warszawa).



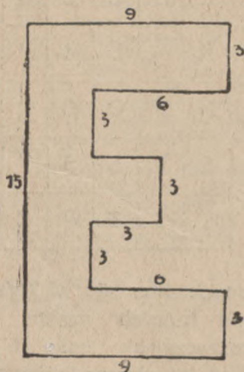
Znaczenie wyrazów:

1. Sędziwa niewiasta.
2. Coś doskonałego.
3. Zasłona u kobiet tureckich.
4. Rzeka w Polsce.
5. Rodzaj głosu·
6. Gatunek jabłek.
7. Ból zębów.
8. Istota mająca białą skórę i białe włosy.
9. Popularna zabawa ludowa,
10. Malowidło szkoły flamandzkiej.
11. Owca rasy hiszpańskiej.
12. Tytuł urzędnika skarbowego w dawnym Rzymie.
13. Ptak.
14. Komedjant.
15. Pogrążenie się w nicości (w wierzeniach hindusk.).
16. Odszczepieniec.

W daną figurę należy wpisać 16 wyrazów o powyższem znaczeniu. Rząd środkowo-pionowy da rozwiązanie. [3.]

Z litery—kwadrat.

Ułożył H 3. D.



Literę należy rozciąć na 4 części, które, ułożone odpowiednio, tworzą kwadrat. Kawałki można przewracać.

Tę samą literę rozciąć na 5 części, z których można ułożyć kwadrat. Części przewracać nie wolno.

Cyfry przy literze oznaczają pomiary w centymetrach lub kratkach [3].

Do Sz. naszych współpracowników!

Redakcja „Mojego Przyjaciela" zwraca się do wszystkich współpracowników działu „Rozrywek umysłowych" z następującą prośbą:

1. Wszelkie rysunki, rebusy, krzyżówki i łamigłówki mają być wykonane na arkuszu białego papieru, możliwie czarnym tuszem i jak najwyraźniej.

2. Rozwiązanie każdego zadania mieścić się powinno na osobnym arkuszu papieru (wystarczy stronica z zeszytu), możliwie tej samej wielkości co oryginalne zadanie.

Powyższe warunki są niezbędne dla późniejszego sfotografowania rysunku na kliszach.

Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 6-go.

Juljan Hofman (Ostrów Mazowiecki,—ilość punktów 34, — I nagroda.

Roman Bełza (W-wa) — punktów 32, II nagroda.

St. Kupczyński (Wilno) — punkt. 32, III nagroda.

Wacław Ginz (Warszawa) — punkt. 31, IV nagroda.

M. Fajnblat (Grubieszów) — punkt. 30, V nagroda.

J. Warszawer (Grodno) — punkt. 30, VI nagroda.

Pozostali uczestnicy konkursu osiągnęli:

Augustowski Stan. (Wsielub) 13 p. **Borowski Leon** (W rszawa) 24 p. **Ornstein Józef** (Sanok) oraz „czy wiesz?" 23 p. **Z. Zelkin** (Druskieniki) 15 p. **Siła-Nowicki W.** (Kielce) 27 p. **Pałkes Samuel** (Warszawa) 12 p. **Gabryszewski Aleks.** (Jasło) 20 p. **Kronberg Natalja** (Warszawa) 22 p. **Scheibach Zygmunt** (Kraków) 24 p. **Kownacki Bolesław** (Lublin) „czy wiesz?" 3. 22 p. **Grauer Leon** (Rzeszów) 20 p. **Szyndelmanówna Mirjam** (Wilno) 15 p. **wik Zygmunt** (Warszawa) 17 p. **Onlman A.** (Białystok) 22 p. **Okmiński Jan** (Radzyń Podlaski) 22 p. **Hessel Jan** (Złoczów) 22 p. **Cynamon N.** (Płock 15 oraz „czy wiesz" **Waryszewski Walerjan** (Warszawa) 18 p. **Gajewski Janek** (Oleszyce) 9 p. oraz 1 „czy wiesz". **Szper Leon** (Lublin) 16 p. **Glauberman Leon** (Lida) 22 p. **Handelsman D.** (Warszawa) 13 p. **Rasskin Borys** (Warszawa 6 p. (2 „czy wiesz?) **Gałoński Jan** (Tremowla) 21 p. (2 „czy wiesz?") **Kleinerman Zygmunt** (Warszawa) 11 p. **Golębiowski Czesław** (Warszawa) 15 p. (1 „czy wiesz?") **Ferenstein Helena** (Białoczów) 28 p. **Marchilewicz Olgierd** (Lida) 19 p. **Barasch Jakób** (Złoczów) 25 p. **Woroncówna Anna** (Warszawa) 27 p. **Aderówna Henryka** (Mszana Dolna) 13 p. **Weiss Lucjan** (Warszawa 12 p. (1 „czy wiesz?"). **Ryński Edward** (Igołomja 12 p. (1 „czy wiesz?"). **Kreid Eug.** (Mielce) 15 p. (2 „czy wiesz?"). **Bentman Artur** (Warszawa) 24 p. **Łoziński Jan** (Jarosław) 21 p. **Karczewski Romuald** (Lipno) 25 p. **Krzywosiński R.** (Lipno) 25 p. **Spiro Michał** (Wilno) 13 p. **Wisenfeld Bronisław** (Warszawa) 25 p. **Bryczkowski A.** (Kielce) 29 p. **Beralin M.** (Warszawa) 11 p. **Ondrusz Jan** (Kraków-Dębniki) 8 p. **Geldberger Stanisław** (Nowy-Sacz) 22 p. **Bilard Sz.** (Warszawa) 7 p.

Rozwiązania zadań z Nr. 6.

Rebus. (nad. L. Borowski—Warszawa).

„NIE WIE CO TO POKÓJ, KTO NIE SKOSZTOWAŁ WOJNY"

Łamigłówka. (uł. R. Kurowski—Tarnów)

1. Pan. 2. Rok. 3. Ren. 4. Kit. 5. Ara. 6. Kto. 7. Cło. 8. wa. 9. San. 10. Oko. 11. Owi.

P—O—N—I—A—T—O—W—S—K—I

Arytmograf (nad. Antoni Wegner—Mrocza).

I Roman. II Omega. III Agata. IV Natan.

Szarada. (uł. A. Wiśniewski—Brześć n/B),

L E N - N O.

Łamigłówka kolejowa.

Pociąg towarowy wjeżdża tyłem na bocznicę, zostawiając tam 13 wagonów. Pozostałe 12 wraz z lokomotywą ruszają naprzód. Pociąg osobowy, znajdujący się za towarowym mija bocznicę w ten sposób, że ostatni jego wagon znajduje się u jej wejścia. 13 wagonów towarowych przyczepia się do końca pociągu osobowego, który rusza naprzód, wyciąga je z bocznicy, a następnie cofa się z niemi wstecz. Pozostała część pociągu towarowego wjeżdża tyłem na tor bocznicy. Pociąg osobowy odczepiony teraz od wagonów towarowych ma wolny przejazd i rusza naprzód. Lokomotywa „towarówki" wraz z wagonami opuszcza bocznicę i cofa się do zbliżenia z pozostałą częścią pociągu. (Mogą być również inne rozwiązania, które wzięliśmy pod uwagę).

Zadanie konikowe (nad. Wł. Chróściewicz — Sarny).

„A wtem ozwał się Sędzia, nalewając czasze: Piję zdrowie Robaka, Wojski w ręce wasze. Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić, Postaramy się przecież za proch mu zapłacić".

Czytelniku! Przyjrzyj się uważnie tym obrazkom... i powiedz, co w nich jest nieprawidłowego.

1. Ruch uliczny naprzód winien się odbywać prawą stroną ulicy.

2. Środkowy kamień przęsła mostowego narysowany jest nieprawidłowo. Część węższa winna być u góry, a szersza u dołu; położenie jak na rysunku, spowodowałoby natychmiastowy jego upadek.

3. Klamka u drzwi i zawiasy nie mogą znajdować się z jednej strony.

Od dołu:

1. Za czasów Napoleona parostatki nie były zjawiskiem codziennem. Pierwszy parostatek zbudowany został przez Foultona w r. 1807.

2. Futro bobrów jest bronzowe.

3. Położenie wysp nieprawidłowe. Sycylja winna się znajdować na południu, a Korsyka na północy.

Kącik szachisty.

L b 1 — C 2.

Czy wiesz?

1. Córka. 2. Piąta osoba dostaje jajko na tacy. 3. Cień, odbitka w lustrze, tęcza... 4. Izolacja.

Krzyżówka (nad. S. Janowski)

Wyrazy poziome: 1. Karmin. 6. Rekuza. 11. Kain. 13. Fela. 15. K. T. 16. One. 18. Fe. 20. Ku. 22. Romocki. 25. Me. 26. Kozak. 28. Urban. 30. Ala. 31. Larwa. 34. Ara. 35. Ob. 36. Ra. 37. Et. 38. Na. 39. Ore. 40. Ugory. 41. Atu. 43. Pyton. 45. Mówca. 47. Ot. 48. Bakarat. 52. On. 53. Ar. 54. Abo. 55. Ty. 57 Baon 59. Skon. 61. Parkan 62. Dialog.

Znaczenie wyrazów pionowych: 2. Ka. 3. Rak. 4. Mitra. 5. In. 7. Ef. 8. Kefir. 9. Ule. 10. Za. 12. Dno. 14. Luka. 16. OM. 17. Ce. 19. Wena. 21. Koloryt. 23. Okaryna. 24. Kultura. 25. Maraton. 27 Żabot. 29. Banat. 32. War. 33. A. E. G. 39. Epos. 42. Wrok. 44. Obrok. 46. Etyka. 49. Ka. 50. Abe. 51. Ro. 53. Aar. 56. Lot. 57. Ba. 58. Na. 59. Si. 60. No.

Zagadka (uł. Feinmesser — Warszawa).

Rozwiązanie w następnym numerze.

Konkurs.

Za trafne rozwiązania zadań, umieszczonych w Nr. 9 „Mojego Przyjaciela" redakcja wyznacza następujące nagrody:

I nagr. *Aparat detektorowy.*

II, III i IV — *nagrody książkowe.*

V i VI — Almanach „Mój Przyjaciel".

Nagrody otrzymają czytelnicy, którzy osiągną najwyższą ilość punktów. Za trafne rozwiązania poszczególnych zadań zalicza się liczba punktów, wskazana w nawiasach przy każdym zadaniu. Brak wskazówki oznacza, że zadanie idzie po za konkursem.

Termin nadsyłania rozwiązań z Nr. 9 upływa z dniem 15 listopada r. b,

KĄCIK DLA DZIECI

Flik i Knop

Rano, nazajutrz po imieninach małego Stasia, pieski Flik i Knop cicho rozmawiały w swoim ulubionym kącie koło pieca.



— Wczoraj Staś dostał tyle pięknych rzeczy,—rzekł Flik. —Może pójdziemy je obejrzeć, a i pobawić się trochę, póki nikt nie widzi.

— Dobrze! Idziemy! — zgodził się Knop. I pieski pomknęły do pokoju, gdzie Staś zostawił podarunki.

— Ach! jaki piękny konik na biegunach!—krzyknął Flik, zauważywszy drewnianego konika. Chce mi się trochę pohuśtać na nim. Pomóż no mi wdrapać się!

Usłużny Knop podtrzymał konia swoim łebkiem, a Flik starał się wleźć na grzbiet rumaka... Ale, o biada! konik rozbujał się i przycisnął Knopowi kark, Flik zaś spadł głową na dół.

— Niema nieszczęścia! — pocieszał Knop piszczącego Flika, — chodź, obejrzymy inne zabawki!

Flik skoczył na stojący wpobliżu stolik, a Knop stanął przed nim na tylnych łapkach.

— Spójrz, Knopie! a co to za kaganiec i bat?

— A może to na nas? — szepnął Knop, bojaźliwie opuściwszy ogon;—pamiętasz, niania mówiła, że już dawno czas włożyć nam kaganiec?

— Co ty wygadujesz, Knopie! Co to ma do nas? To na pewno na tego głupiego konika, aby był grzeczniejszy!

Flik był pewny, że to koń naumyślnie przewrócił go pierw i dlatego był zły.



— Ale to jest nieciekawe! Pójdźmy dalej!

Wtem Knop zauważył pajaca.

—Jaki śliczny!—krzyknął zadowolony.—Chodź, potańczymy z nim walczyka! weź go za rękę!

Pieski chwyciły pajaca z dwóch stron i poczęły kręcić się po pokoju.

Wtem — Krrr...ach! Coś trzasnęło. Bezręki pajac upadł na podłogę i machnął bezradnie nóżkami.

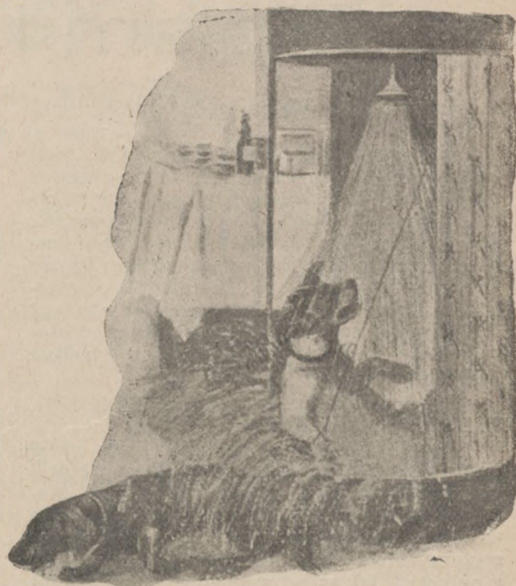
Znów niepowodzenie! Flik jednak nie tracił humoru. W kącie znalazł bęben i już krzątał się koło niego.

— Ato ci niewygodna zabawka— mruczał Knop — jak się z tem bawić?

I przyjaciele poczęli rwać bęben zębami tak, że strzępy poleciały na wszystkie strony.

Tymczasem niezmordowany Flik zauważył nowy jakiś przedmiot, skromnie przykryty ceratą.





— A to co takiego? Trzeba sprawdzić — postanowił. Knop cisnął bęben w bok i również podbiegł do nowej „zabawki“.

Flik wlazł pod ceratę, aby zobaczyć, co tam się pod nią kryje. Wtem łapa jego zaplątała się w jakimś sznurku; piesek ciągnie i—o, rety!—cały wodospad leje się na niego i na Knopa.

Knop pisnął żałośliwie, uciekł i skrył się pod stół. Przestraszony Flik ciągnął ze wszystkich sił swą łapkę, ale tylko bardziej zaplątał się. A tymczasem woda lała się coraz mocniej i mocniej!

W tej chwili weszła do pokoju niania, prowadząc za rękę Stasia.

— Co tu się dzieje?—krzyknęła przestraszona. — Ach, obrzydliwe psiaki, co one narobiły! Czekajcie, ja was nauczę!

I schwyciwszy bat, przeznaczony przez Flika dla konia, sromotnie wygnała obu szkodników z pokoju.

Z pism i książek

Franciszka Rodis. „Z ZIEMI POLSKIEJ".

Oto siedm opowiadań i legend z ziemi Polskiej, ozdobionych artystycznemi drzeworytami T. Makowskiego. Nie ma tu nic z życia społecznego lub z życia huczącego miasta. Autorka sercem miłowała czarną rolę i szumiące lasy polskie i lud na ziemi tej żyjący i im to, pieknu, poszumom i niedoli opowiadania swoje poświęca. Książka daleka jest od przeciętności, a odbita z wielką pieczołowitością w drukarni paryskiej, da czytelnikom wiele estetycznego zadowolenia.

Prof. Adam Szelągowski. „ROK 1791. UPADEK TRONU".

Książka niniejsza stanowi drugą część cyklu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, której część pierwsza nosi tytuł „Rok 1789, Monarchja a Rewolucja". Jest to obraz prawie współczesny prądów i zagadnień, nurtujących społeczeństwa zachodnio-europejskie, a więc i polskie. Jak w prowadzeniu wojen od lat stu strategja napoleońska się nie zmieniła, podobnież nie uległa zmianie psychologja, ani taktyka rewolucyjna do dziś dnia. Temu niezakończonemu jeszcze procesowi historycznemu poświęca świeże swe dzieło prof. Szelągowski.

Wilkanowicz R. „BEZIMIENNI BOHATEROWIE POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO. Szkic historyczno-literacki.

Książka ta obejmuje tylko dzieje konspiracji przedpowstaniowej, uwzględniając wypadki do dnia wybuchu powstania w Poznaniu w d. 27 grudnia 1918 r., wypełnia zatem choć w części lukę pozostawioną przez poprzednie publikacje tego rodzaju i rzuca pewne światło na działalność naszego „Harcerstwa" i „Polskiej Organizacji Wojskowej" (P. O. W.) w powstaniu, a więc działalność dwóch najżywotniejszych grup bojowych, których dotąd prawie nie znaliśmy na terenie b. zaboru pruskiego.

Książka wydana jest bardzo starannie, ozdobiona rys. J. Wronieckiego i rys. okładkowym L. Wróblewskiego.

W. Niemczyński. „RADJOTECHNIKA DLA WSZYSTKICH". Przystępny podręcznik radjotelegrafji i radjotelefonji. Wydanie drugie przerobione i uzupełnione.

W książce tej znajdzie czytelnik przepisy budowy najrozmaitszych części składowych i odbiorników, od najprostszych do najbardziej doskonałych. Przepisy są dobrane w ten sposób, aby radjoamator mógł dojść do celu zapomocą najprostszych i najtańszych środków pomocniczych.

Skrzynka pocztowa

Stanisław G. (Nowy Sącz). Opis podróży na samolocie jest wcale ładny, lecz niektóre ustępy zdradzają, że autor jednak samolotem nigdy nie podróżował. Poco np. pisze Pan: „ — bardzo dziwne wrażenie sprawia szybkość jazdy na samolocie. Wszystko miga przed oczyma, jak to czasem można widzieć w kinie, gdy film jest za szybko puszczony...".

Otóż należy tu zaznaczyć, że przy podróżowaniu samolotem odnosi się wrażenie wręcz przeciwne. Wobec braku wpobliżu przedmiotów nieruchomych, nie jesteśmy w stanie zauważyć własnej szybkości; patrząc zaś wdół, na daleką ziemię, mamy wrażenie, iż posuwamy się bardzo a bardzo powoli... Podobne omyłki zawsze zachodzą tam, gdzie autor usiłuje szczegółowo opisać coś, czego nie zna z własnego doświadczenia.

P. Pordesówne w Kołomyi. „Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody... o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny".

Rowerzysta z Poznania. Wobec zdeformowania dzwona roweru należy odszukać punkt, w którym koło jest najbardziej zniekształcone. W tym celu obracamy je wolno, podtrzymując jednocześnie kawałek kredy oparty na ramie tuż obok dzwona. Punkt, w którym nastąpi tarcie rozpoznamy po białej rysie; wystarczy teraz naciągnąć szprychy, dochodzące do tego miejsca, a uszkodzenie będzie naprawione.

A. Oniman. (Białystok): Też nie rozumiemy. Pewnie wina poczty.

M. Bilard: Nie nadaje się: rysunek zły, a i treść nieświetna. „Krople wody skały *krószą*?" (?) Co to ma do rzeczy?

W. Hofman (Brodnica). Podobnych czasopism w języku polskim niema. W językach obcych wychodzi kilka takich pism; jednak cały szereg artykułów pisany jest specjalnym „sztubackim" żargonem, a więc dla czytania ich należy w zupełności opanować język. Znajomość języka „przeciętna dla 6-ej klasy" zapewnie nie wystarczy.

C. C. (Wilno). Humoreski Pana nie umieścimy. Radzimy zacząć od mniejszych utworów. Z dowcipów skorzystamy.

NA WYWCZASY LETNIE!

Dodatek krajoznawczy

pod redakcją Inż. D. BERGERA

ZWIĄZEK
UZDROWISK POLSKICH
Warszawa, Senatorska 11/21
tel. 210-33
L. 824/27

Szanowna Redakcja
MIESIĘCZNIKA „MÓJ PRZYJACIEL"
w Warszawie, Bielańska 5.

Przyjmujemy do wiadomości i ze szczerem podziękowaniem zamiar Panów utworzenia w Wydawnictwie „Mój Przyjaciel" specjalnego działu, poświęconego zdrojownictwu polskiemu i złączonej z nim turystyce polskiej.

Usiłowania Panów w kierunku należytego poprowadzenia działu tego poprzemy z całą gotowością w miarę sił i środków, któremi rozporządzamy.

Jesteśmy przekonani, że odpowiednio ujęty i poprowadzony dział ten spełni wśród czytelników Wydawnictwa Panów należytą służbę i przysporzy tak im, jak i całości gospodarstwa krajowego, którego zdrojownictwo jest częścią, wiele korzyści.

Życzymy pełnego powodzenia Wydawnictwu Panów w przyszłości i pozostajemy

z wyrazami wysokiego poważania
za ZWIĄZEK UZDROWISK POLSKICH
W a r s z a w a

Warszawa, dn. 20/5 1927.

(—) Szczerbiński
Dyrektor Biura Związku Uzdrowisk Polskich.

LETNISKA NADMORSKIE.

Kisze zawdzięczamy Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu.

Tyle walk podejmowano (na szczęście słownych), tyle sporów toczono, przez szereg lat z taką uporczywością wracano do tego tematu: morze i morze, wybrzeże polskie i morze polskie i dostęp do morza, a dziś — już jest ten dostęp do morza, już kraj przylega do prawdziwego, wielkiego, otwartego morza, a kto je zna? kto się niem interesuje? Jest tam grupka polityków, których ono z innych względów zajmuje, tych zostawmy w spokoju, wartoby zaś skonstatować, ilu się z turystycznego punktu widzenia z tym brzegiem morskim zapoznało; ręczę, że to stosunkowo garstka znikoma. Toteż i literatura opisowa tego kraju nader uboga, a kraj sam niemniej; na nasze czasy przypadają właśnie pierwsze wysiłki, rozbudowa tej części le-

dwo się poczęła i powoli idzie naprzód, jednak idzie.

Letniska nadmorskie, to raczej nazwa przyszłości, określenie użyczone na kredyt, z wiarą, iż się go nie zawiedzie. Dorobek dotychczasowy skromny jeszcze, chociaż i tu każdy rok nowe zmiany przynosi.

Przedewszystkiem mają te letniska nabrzeżne konkurenta niebyle jakiego: są nim Sopoty, bogate kąpielisko nadmorskie na terenie wolnego miasta Gdańska. Zjeżdżają tu ci wszyscy, którzy wypoczynek letni pragną połączyć z komfortem i wygodami wielkomiejskiemi, a bliskość Gdańska zapewnia i to. Konkurent to więc silny, poważny.



Dragi w porcie Gdynia.

A jednak, jeśliby tylko wsie nadmorskie nieco rozbudować, umożliwić pobyt i wygodne pomieszczenie szukającym tu spokoju i wypoczynku po trudach całego roku, nie wątpię, że właśnie możność spędzenia lata na łonie samej natury, zdala od gwaru miejskiego, ściągnie tu licznych zwolenników. Tymczasem przybywają tu ci, co tem skromnem się zadawalając, piękna szukają w morzu i nadmorskiej krainie. I więcej jest ich, niż w warunkach obecnych właściwie zmieścić się może.

A teraz do samego kraju, wcale nam prawie nieznanego i morza, tego zupełnie nam obcego pojęcia.

Niewielki to obszar. Wszystkiego na 60 km. długości ciągnie się nasze wybrzeże nad wodami Bałtyku. Ściśle biorąc, nie samego Bałtyku, bo większa część leży nad zatoką Gdańską wraz z jej odnogą Pucką, sam tylko półwysep Hel, od przylądka tejże nazwy po ujście rzeki Piaśnicy, styka się bezpośrednio z Bałtykiem.

Dziwny ten *półwysep*. Długi, a cienki szmat ziemi wdziera się w morze i nic sobie z tej groźnej potęgi nie robi. Owszem jeszcze z nią zacięte stacza walki o swe prawo do bytu. Potężne bałwany morskie wydzierają mu nieraz całe płaty, miejsca te woda zalewa i znikają na zawsze, więc w innem miejscu zbiera na nowo rozsypane piaski, osadza je i znów z tego ląd stały powstaje, stratę w ten sposób nadrabia. Ta walka lądu z żywiołem morskim trwa nieustannie i choć groźna, strat wielkich nie przynosi.

Lądy znikają, powstają inne i w wiecznym ruchu objawia się żywioł. Nieraz po roku turysta, kuracjusz, wróciwszy tu latem, nie zastaje już plaży, na której całe lato ubiegłe przepędził; wszystko to znikło bezpowrotnie, jak za dotknięciem różdżki, a w miejscu lądu przepotężne morze przewala swoje bałwany.

I *morze* zmienne. „Małe“ i „Wielkie“, głębokie i płytkie, tak płytkie niekiedy, że w wielu miejscach mielizna uniemożliwia wprost żeglugę. Zwłaszcza w zatoce Puckiej. W innych znów miejscach głębia ogromna. Już

pod Helem dochodzi do 40 m., a nieco dalej w zatoce Gdańskiej osiąga 110 m. Gdzieniegdzie głębia zaczyna się tuż prawie przy brzegu, w innem miejscu w znacznem oddaleniu, nie wszędzie więc równe warunki dla *plaży*.

I *woda* nie wszędzie ta sama. Liczne rzeki, wpadające w tej części ze wszystkich stron, powodują znaczne osłodzenie Bałtyku, z natury rzeczy już mniej słonego od wód oceanicznych ze względu na swój charakter morza zamkniętego. Odmienny jest obraz zimą, gdyż woda zamarza w czasie silnych mrozów, tamując żeglugę; w tych czasach można się z Gdańska na Hel poprzez całą zatokę po lodzie przedostać.

W tych więc warunkach nasze *letniska nadmorskie*: *Orłowo, Gdynia, Kamienna Góra, Oksywia, Puck, Wielka Wieś, Hallerowo, Chałupy, Kuźnica, Jastarnia Hel, Bór, Chłapowo, Jastrzębia Góra, Karwia, Holendry, Rożewie.* Tradycji nie mają, krótkie ich dzieje, rozwój przypada dopiero na czasy powojenne. Tu i ówdzie było kilka wil i specjalnych zabudowań, nawet urządzenia kąpielowe istniały gdzieniegdzie jeszcze z czasów niemieckich, lecz tylko w *Orłowie, Gdyni, Pucku* i *Helu*. Lecz i tam skąpe, nie przygotowane jeszcze na przyjęcie większych ilości letników, turystów. Z konieczności więc rozwinął się „przemysł domowy“, improwizowane hotele powstają po wsiach, gdzie miejscowa ludność odnajmuje część swych mieszkań na lato, a nawet przy silnej frekwencji przenosi się do komór, na strych, a całe chaty odnajmuje przybyszom, dla uzyskania bocznego zarobku, poprawienia swej doli. A letnicy zjeżdżają nietylko do wiosek nad samem morzem położonych, lecz nawet dalej od morza, wszędzie znajdując urok specjalny.

Najpiękniejszą okolicę posiada południowa część wybrzeża. Tuż za Sopotami, od Kolibek po Gdynię, nad Małem morzem mamy szereg miejscowości o charakterze stacyj klimatycznych leśnych i zarazem nadmorskich miejsc kąpielowych. W bezpośredniem sąsiedztwie zalesionych wzgórz, wzniesionych do 150 m. npm., stanowią uroczy zakątek; od wschodu oblane morzem, od północy chronione grzbietami od wiatrów, klimat mają łagodny, widok piękny. *Kolibki, Orłowo, Radłowo.* Wyżej na północ *zmienia się krajobraz*, głównie już teren płaski,



Przylądek Rozewski z Jastrzębiej Góry

choć niekiedy poprzecinany płasko - wzgórzami, „kępami“, o urodzajnej ziemi, porośnięty łąkami, zajęty przez torfowiska piaski. Taki to cały brzeg morski po ujście Piaśnicy.

Stąd wybiega *półwysep Hel*, o zupełnie odmiennym charakterze. Na kilka metrów zaledwie nad poziom morza wzniesiony, oddzielony od niego wydmami piaszczystemi, chroniącemi go przed zalewem, wbija się półwysep wydłużonym klinem w wody Bałtyku, na długości 37 km., o powierzchni około 30 km. Ciekawy to widok. Wąski u swej nasady przy Wielkiej Wsi (zaledwie 200 metrów szerokości), rozszerza się zwolna w swym biegu na południ.-wschód, dochodząc pod Jastarnią (w połowie swej długości) do 1 km. Dopiero w dolnej swej części rozszerza się więcej, lecz i tu osiąga wszystkiego 2 km., aż urywa się nagle pod samem miastem Hel, znów ustępując miejsca wodom, które niemiłosiernie rozdzielił. A poważnie zagrażałoby mu morze, gdyby nie *ochronne wały wydmowe*, wznoszące się wzdłuż całego półwyspu na wysokości 5 do 20 metrów, szerokie na 20—100 metrów. I to naturalną ochroną półwyspu i *depki* jeszcze, przesmyki w po·

przek lądu idące, a nie dopuszczające do zalewu, gdyż stanowią one jakby naturalne połączenie rozdzielonych wód, *kanał*, którym przewala się nadmiar wody, reguluje zwiększony przypływ w czasie znaczniejszych ruchów morza. Przyczynia się jeszcze do wzmocnienia półwyspu planowa gospodarka, dążąca do zalesienia całej tej ziemi, by w ten sposób ująć lotności piaskom i uchronić je przed rozpadem.

Na takim to niepewnym gruncie, który z biegiem czasu z połączenia się wysepek odrębnych powstał, żyje lud, istnieją miasta. Pięć ich tu mamy: *Chałupy*, *Kuźnica*, *Jastarnia*, *Bór* i *Hel*. Po kilka do kilkunastu km.



Ulica w Helu.

oddalone od siebie, nie różnią się prawie niczem. Jedynie Hel, zamieszkany przez ludność niemiecką, sprawia też wrażenie typowo niemieckie pod względem swych zabudowań, jednego rzędu budynków po obu stronach ulicy, gdy inne — mając rozrzucone chałupy na wielkiej przestrzeni — dają typowy obraz polskiej wsi.

Ludność do niedawna wyłącznie trudniła się rybołówstwem i z tego żyła, stworzyło to też jednolity typ rybacki, bardzo miły, zdrowy, pracowity, w obejściu szczery i poważny. Rybacy na całem świecie stanowią jeden i ten sam naród: ich strój, ich życie, zwyczaje i praca, wszystko to ma za sobą wiekową tradycję. Czy w osadach Bretanji, wzdłuż Skandynawji, u rybaków angielskich, czy u naszych na Helu, te same spotykamy warunki pracy i życia, tenże typ ludzki, kropla w kroplę ten sam. I strój, obyczaj i nawet ten sam wyraz twarzy, znaczonej morzem. Mili, ogromnie mili ci ludzie, tem więcej, że wisi nad nimi to nieubłagane *fatum*, wieczne niebezpieczeństwo morza. Życie swe spędzają mężczyźni na pełnem, burzliwem morzu, przy ciężkiej pracy. Żadnemu z nich nie jest wiadomem, czy wróci z wyprawy do domu, czy też przepadnie w głuchej toni na zawsze. Bo też ogromnych ofiar domaga się morze, stale porywa najlepszych. A w ciągłem oczekiwaniu powrotu swych mężów, ojców i braci na tym to niepewnym lądzie cały swój żywot spędzają kobiety, również ciche, pokorne, cieszące się chwilą, gdy wszyscy bliscy szczęśliwie z połowu wrócili, a przeżywają niejedną chwilę niepewności i lęku, gdy burzą smagana fala, o samą prawie chatę uderza i dniem jak nocą zapomnąć nie daje, że zdala na niepewnem morzu los najbliższych się waży. Taki ich los, takie też życie. A jednak gdyby im dawać skarby świata, spróbować przenieść w inne warunki, normalne, spokojne, bez wiecznej obawy o życie i łatwiejszą dać pracę, kraju swojego nie dadzą za nic, choć morze ofiar wymaga i litości niema, tam ich kolebka, tam z dziada, pradziada rody się zachowały, z tą ziemią, z tem morzem związane, żyją i zamierają.

Nastraja morze, pisaćby o niem można bez miary. Mnie koniec tej kartki na więcej nie pozwala, przejedźcie się sami, dziwo zabaczycie i więcej powiecie.

Inż. D. Berger

KUPON do Nr. 5.
wyciąć i załączyć do rozwiązania zadań

Imię i nazwisko ____________

____

Adres ____________

____

Redakcja nasza chętnie podaje czytelnikom źródła zakupu.

— A więc pan chce, byśmy sami przynieśli drabinę. Dobrze, zgadzamy się. Chodźmy, kolego, uwolnimy sir Olsmajna, a później — do redakcji.

I zachwyceni wynikiem wywiadu, reporterzy szybkim krokiem skierowali się w boczną aleję parku.

Niewątpliwie wisielec obsypał w duchu reporterów wszelkiemi wymysłami, jakie tylko wynaleźć może wyobraźnia anglosaska. Po pewnym czasie Olsmajn usłyszał kroki.

— Oni — mruknął.

Lecz omylił się. Na placyku ukazał się mężczyzna zupełnie Olsmajnowi nieznany. Był to Armand Lawared, który stawił się na poranne spotkanie, naznaczone w anonimowej kartce.

Ujrzawszy szubienicę, paryżanin zatrzymał się zdumiony. Przebiegł oczyma napis na desce, która zdobiła pierś Olsmajna i półgłosem mruknął:

— Sir Tobi Olsmajn! Wiedziałem, że Anglicy są ekscentryczni, lecz nie sądziłem, by oryginalność ich dochodziła do takich granic.

Uwaga ta wywołała wybuch gniewu wisielca.

— Idź pan do djabła — zawołał, gdy Lawared skłonił się uprzejmie i wymienił swe nazwisko. — Przyszedł pan za późno.

— Pan wybaczy, przyszedłem punktualnie o szóstej.

— Nie o to chodzi. Padłem ofiarą głupiego żartu, ale miałem nadzieję, że pan mię uwolni z opresji, zanim wieść o tem rozejdzie się po mieście.

— Mogę to przecież uczynić.

— Za późno! Byli tu już dwaj reporterzy, którzy dokonali zdjęcia. A fotografja jest dowodem niezbitym i nic nie pomogą sprostowania w pismach. Ale oto właśnie nadchodzą.

Rzeczywiście, na placyku zjawili się niebawem reporterzy, niosąc wielką drabinę.

Lawared skłonił się uprzejmie.

— Jestem dziennikarzem francuskim — rzekł w odpowiedzi na pytanie, które wyraźnie malowało się w oczach zdumionych reporterów.

— A to świetnie, kolego! — zawołali obydwaj radośnie. — Może wyręczycie nas i zajmiecie się sir Olsmajnem. Nam śpieszno do pracy.

— Niestety, moja rola, jako cudzoziemca, byłaby w tej sprawie dość niewyraźna. Muszę tedy z przykrością odmówić.

— Macie poniekąd rację, kolego. Trudno, spóźnimy się nieco.

Reporterzy przystąpili do drabiny, gdy Lawared, wskazując na aparaty fotograficzne, zawieszone na plecach Anglików, powiedział:

— Przy takiej operacji bardzo łatwo o wypadek. A szkoda negatywów. Jeżeli pozwolicie, to potrzymam je.

Reporterzy podziękowali koledze za uprzejmość i wręczyli mu aparaty, poczem jęli szybko wspinać się po drabinie.

— Wystarczy zniszczyć negatywy, a Olsmajn stanie się moim przyjacielem. A z jego pomocą odnajdę Roberta — pomyślał Lawared.

Plan został dzięki właściwej Lawaredowi szybkości decyzji niezwłocznie wykonany.

Po chwili zjawili się reporterzy w towarzystwie Olsmajna. Podziękowawszy raz jeszcze Lawaredowi, oddalili się szybko, śpiesząc do redakcyj z sensacyjnemi zdjęciami.

Dowiedziawszy się o zniszczeniu kompromitujących go fotografij, Olsmajn nie posiadał się z radości. Uścisnął serdecznie dłoń Lawareda i gorąco zapewnił o swej dlań życzliwości. Przyrzekł też solennie udzielić energicznej pomocy w poszukiwaniu Roberta, oddając mu do dyspozycji całą brygadę policji. Zataił jednak przed swym wybawcą, że wie coś o osobach i losach Tanisa, Roberta i Niari.

W pobliżu domu szefa policji spotkali nowi przyjaciele Dżemsa Paka w otoczeniu ajentów policyjnych. Okazało się, że dzień ten dla sekretarza był niemniej fatalny. O północy został on przez złoczyńców przywiązany do słupa, znajdującego się nawprost komendy policji. Szczęściem, stojący na warcie policjant dostrzegł go niebawem i uwolnił z więzów. Nie zwlekając, podążył Pak na czele oddziału ajentów do tajemniczego domostwa, w którem szef policji wpadł w zręcznie zastawioną zasadzkę. Posterunki policyjne zajmowały tam jeszcze wyznaczone przez Olsmajna stanowiska. Wyniki rewizji wprawiły Dżemsa w zdumienie: dom był pusty i żadne ślady nie wskazywały na to, że przed kilkoma zaledwie godzinami rozegrała się tu walka. Silly, którego Pak spotkał przed chwilą, opowiedział mu, że w krytycznym momencie stracił przytomność, ocknął się zaś na wybrzeżu, w pobliżu doków.

Olsmajn wysłuchał spokojnie opowiadania. Nie zwierzył się

sekretarzowi z podejrzeń, które zrodziły się w umyśle jego podczas pamiętnej sceny sądu. Rzucił tylko krótką, beznamiętnym głosem wypowiedzianą, uwagę:

— To wszystko jest bardzo dziwne. No, ale przedewszystkiem trzeba wypocząć.

I uścisnąwszy dłoń Lawareda, Olsmajn udał się do swych prywatnych apartamentów. Ale tu ospałość znikła raptownie z twarzy naczelnika policji, ustępując miejsca rzeźkości i energji. Szybkim ruchem nacisnął dzwonek, łączący gabinet jego z wydziałem śledczym, i przybyłemu ajentowi rzucił półgłosem rozkazy.

Gdy Armand Lawared wrócił do domu, dowiedział się ze zdumieniem, że nadszedł pod jego adresem list od tajemniczego korespondenta, który okazał mu już tak cenną przysługę, dawszy sposobność do zaprzyjaźnienia się z Olsmajnem. List głosił, co następuje:

Wielce Szanowny Panie!

Pragnie Pan odnaleźć Roberta Lawareda. Nie mogę, niestety, wskazać miejsca jego pobytu, ale zapewniam, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i że niezadługo już wybije godzina, gdy, odzyskawszy utracone nazwisko, połączy się węzłem dozgonnym z ukochaną. Pan może mu w tem dopomóc. Niech Pan się zwróci niezwłocznie do Olsmajna z prośbą o zwolnienie Egipcjanina Niari z fortu Broken-Bej, w którym jest uwięziony. W ten sposób pozyska Robert bardzo pożytecznego świadka.

Łączę wyrazy szacunku.

Podwodny Korsarz.

Nie tracąc ani chwili na jałowe rozmyślania, Lawared pobiegł do Olsmajna i wprost przystąpił do rzeczy, wręczając naczelnikowi policji list Korsarza.

Olsmajn jął czytać powoli, pragnąc zyskać na czasie, by namyślić się przed powzięciem decyzji.

— Jestem, doprawdy, zakłopotany — rzekł po dłuższej chwili, usiłując nadać swym słowom akcent szczerości — Pański korespondent zna, zdaje się, lepiej moje sprawy ode mnie. Pragnąc okazać, jak wielką żywię do pana sympatję, proponuję, byśmy pojechali jutro wczesnym rankiem do Broken-Bej. Urządzimy

defiladę więźniów i jeżeli między nimi znajduje się rzeczywiście Niari, to oddam go do pańskiej dyspozycji.

Pozory serdeczności tak ujęły Lawareda, że podziękował gorąco Olsmajnowi — głęboko przeświadczony, że w naczelniku policji znalazł wiernego sprzymierzeńca.

Po wyjściu Lawareda oblicze Olsmajna przeobraziło się raptownie. W oczach ukazały się błyskawice gniewu, a kurczowo zaciśnięte pięści groźnie wyciągnęły się ku niewidzialnemu wrogowi.

„To niezawodnie Silly! Czekaj, łajdaku, już ja cię wyśledzę. A przez ciebie dotrę też do twoich wspólników. Cóż to za ludzie, którzy znają tak dokładnie moją przeszłość?! Trzeba ich wykryć i zmusić do milczenia — za wszelką cenę. Uczynię to! Dziś lub jutro przez Silly'ego pochwycę w swe ręce wszystkie nici zbrodniczych knowań".

„A to idjotyczne Francuzisko wyobraża sobie, że gwoli przyjemności pierwszego lepszego durnia poświęcę interesy Anglji w Egipcie. Aha, sądzisz głupcze, że jutro uwolnię Egipcjanina. Otóż mylisz się grubo!"

Niecierpliwym ruchem nacisnął dzwonek. Drzwi otwarły się lekko i na progu zjawił się Dżems Pak.

— Pan tu! — zdziwił się Olsmajn — Zresztą, to się dobrze składa. Jest mi pan w tej chwili potrzebniejszy, niż kiedykolwiek. Podwodny Korsarz nie zasypia gruszek w popiele. Dziś zawiadomił Lawareda, że Niari znajduje się w forcie Broken Bej.

— Czyżby?

— Zapewniam pana. Lawared był tu przed chwilą.

— Pan, oczywiście, zaprzeczył...

— Rozumie się. Zaprosiłem go nawet do fortu, by przekonał się na własne oczy, że niema tam Niari'ego.

— Jakto? Aha, rozumiem! Poleci pan uprzednio przenieść więźnia do innej twierdzy.

— Tak, do Sydneju. Oto rozkaz. Bądź pan łaskaw wyprawić niezwłocznie gońca do komendanta fortu Broken-Bej.

Przelotny uśmiech zjawił się na ustach Dżemsa Paka, lecz Olsmajn nie dostrzegł go, zagłębiony w swych myślach.

Dżems Pak, spełniwszy polecenie szefa, udał się na wybrzeże. W pobliżu doków dostrzegł Silly'ego, a w pewnej odległości za nim człowieka, który z ubioru wyglądał na robotnika.

— Dzień dobry, Silly!

— Dzień dobry, panie Pak.